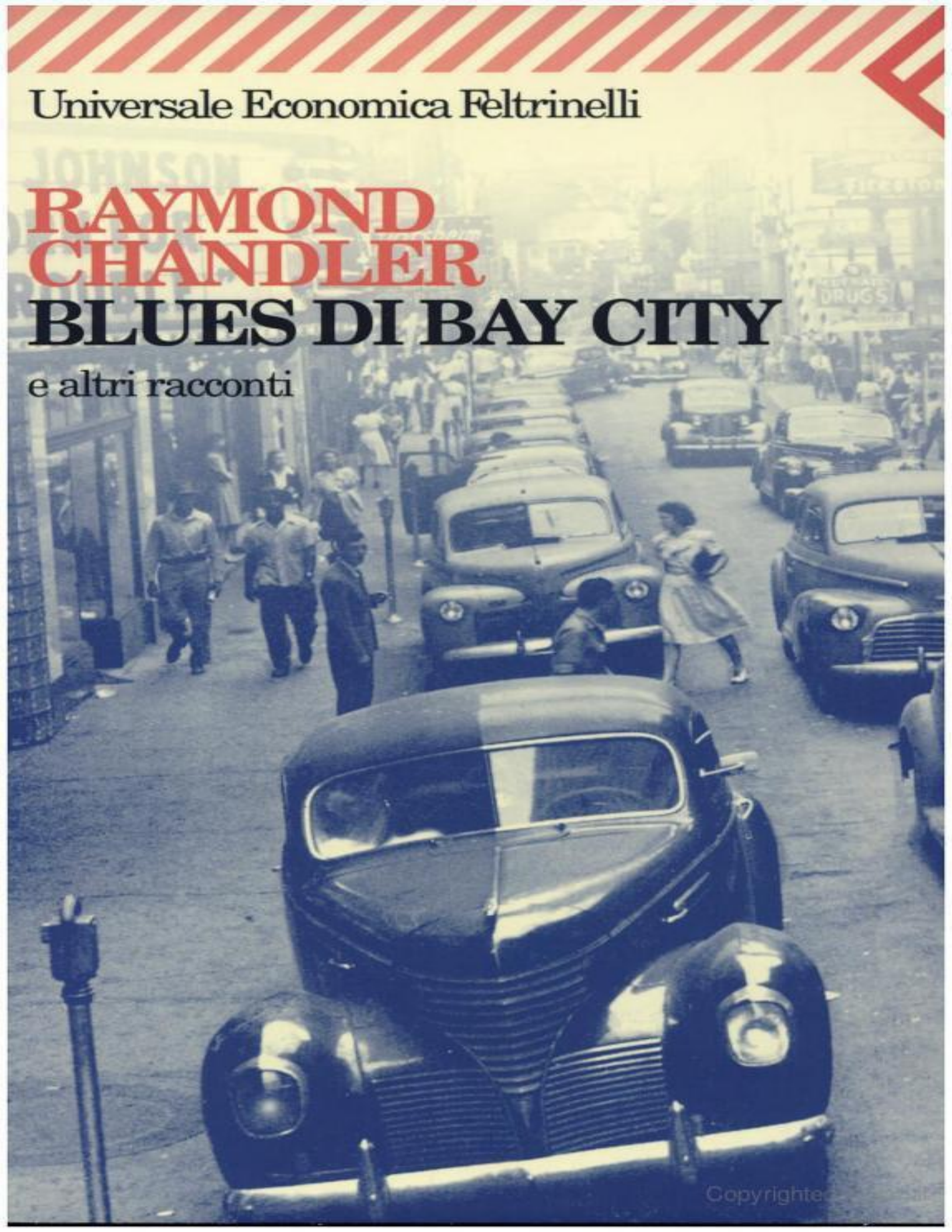


Universale Economica Feltrinelli

**RAYMOND  
CHANDLER**  
**BLUES DI BAY CITY**

e altri racconti





# Raymond Chandler - Bay City Blues

## *Samobójstwo Kopciuszka*

To musiał być chyba piątek, bo smród ryb dolatujący z baru Mansion House był tak silny, że można było na nim wybudować garaż. Poza tym normalka: miły, ciepły wiosenny dzień, późne popołudnie, a w tygodniu nie miałem zbyt dużo roboty. Siedziałem z nogami założonymi na krawędź biurka i w smudze słońca opalałem sobie kostki stóp, kiedy zadzwonił telefon. Zdjąłem kapelusz i ziewnąłem w słuchawkę.

- No wiesz - powiedział. - Powinieneś się wstydzić, Dalmas. Słyszałeś o sprawie tej Austrian?

To był M'Gee, Fiołek M'Gee, tajniak z biura szeryfa. Miły gość, tylko miał jedną wadę: przy rozpracowywaniu spraw, jakie mi podsuwał, zawsze zbierałem okrutne cięgi i dostawałem za to tyle co nic, nawet na używane kalesony by nie starczyło.

- Nie.

- Ci z plaży znów narozrabiali. Wiesz, ci z Bay City. Od czasu, kiedy wybrali sobie burmistrza, siedzą w tej dziurze jak napuszone kwoki na grzędzie. Ale nasz szeryf tam mieszka, więc staramy się być mili. No i nie naciskaliśmy. Powiadają, że ci od hazardu wyłożyli na fundusz wyborczy trzydzieści patoli i teraz razem z programem wyścigów dostajesz za frajer talon do garkuchni.

Znów ziewnąłem.

- To też słyszałem - warknął M'Gee. - Jak cię to nie bawi, to dam temu spokój. Mam to gdzieś. Najwyżej obgryzę sobie paznokiec u drugiego kciuka i po krzyku. Facet mówi, że gotów jest wyłożyć trochę szmalu.

- Jaki facet?

- Ten, co znalazł truposza, Matson.

- Jakiego truposza?

- Więc jednak nic o tej sprawie nie słyszałeś, hę?

- To nie powiedziałem, że nie?

- Nic nie powiedziałeś. Cały czas ziewasz i pytasz, jaki facet, jaki truposz. No dobra, jak chcesz. Po prostu, niech biedaka kropną i skoro jest teraz w mieście, niech się o to martwi miejski wydział zabójstw.

- To tego Matsona chcą zaciukać? Kto?

- Gdyby wiedział, po co miałby wynajmować tajniaka, nie? Człowiek robił do niedawna w twoim fachu, ale go trochę zwyobracali i teraz prawie nie wychodzi z chałupy, bo paru facetów z gnatami chce go ponoć urządzić na cacy.

- Wpadnij do mnie - powiedziałem. - Lewa ręka mi drętwieje.

- Jestem na służbie.

- Właśnie miałem zamiar skoczyć do sklepu po butelczynę szkockiej. Bardzo leciwej zresztą...

- Słyszysz, jak ktoś puka do drzwi? To ja - odrzekł M'Gee.

Przyjechał za niecałe pół godziny - wielki facet o przyjemnej twarzy z dołeczkami w policzkach, o przyprószonych srebrem włosach i maleńkich usteczkach stworzonych do całowania niewinnych bobasków. Miał na sobie idealnie odprasowany granatowy garnitur, wypolerowane buty z kwadratowymi noskami i ząb łosia na złotym łańcuchu przewieszonym przez brzuch.

Usiadł ostrożnie, jak siadają ludzie tędy, otworzył butelkę, przytknął do nosa i podejrzliwie nim pociągnął, by się upewnić, że nie napełniłem jej dziewięćdziesięcioośmioprocentowym bimbrem, jak to robią w barach. Potem nalał sobie sporą miarkę, upił łyk, mlasnąwszy językiem chwilę smakował i zaczął obmacywać wzrokiem moje biuro.

- Nic dziwnego, że sterczysz tutaj jak kołek i czekasz na klientów - skonstatował. - W dzisiejszych czasach bez dobrego opakowania towaru nie opchniesz.

- Nie dobijaj mnie, dobra? - odrzekłem. - No to co z tym Matsonem i tą Austrian?

M'Gee dopił drinka i nalał sobie następnego, tym razem trochę mniejszego. Patrzył, jak bawię się papierosem.

- Samobójstwo - rzucił. - Zagazowana lalunia. Blondyna nazwiskiem Austrian, żona lekarza z Bay City. Faceta, który lata nocami po całym mieście i szprycuje aktorów, żeby nie zjedli na śniadanie różowego słonika. No to lalunia biegła samopas. Tej nocy, kiedy się przekreśliła, wpadła do klubu Vance'a Conrieda. To na pomoc stąd, wiesz, na tym urwistym brzegu. Znasz lokal?

- Taaa... Kiedyś to był taki przytulny klubik z ładną prywatną plażą na dole. A przed koszami paradowały najprzedniejsze nogi w całym Hollywoodzie. Więc poszła tam zagrać w ruletę, hę?

- Gdybyśmy w tym okręgu mieli jaskinie hazardu - rzekł M'Gee - powiedziałbym, że klub Conrieda to jedna z nich, i że owszem, jest tam ruleta. Powiedzmy, że grała w ruletę. Powiadają, że z Conriedem grywała częściej i w bardziej intymne gry, ale powiedzmy, że na boku grywała też w ruletę. Przegrywa, bo ruleta jest po to, żeby w nią przegrywać. Tej nocy splukuje się do czysta, odbija jej szajba i lalunia robi w lokalu burdel. Conried zgarnia ją do prywatnego gabinetu i przez lekarską centralę telefoniczną namierza doktorka, jej męża. Doktorek. ..

- Chwila - wtrąciłem. - Tylko mi nie mów, że ujęli to wszystko w materiale dowodowym. Nie w okręgu, którym trzęsie syndykat szulerów. Oczywiście, jeśli mamy tu syndykat szulerów.

M'Gee spojrzał na mnie z politowaniem.

- Moja żona ma młodszego brata, który robi w Bay City jako dziennikarz czy reporter. Nie było

żadnego śledztwa. No więc doktorek grzeje do klubu i szprycuje zoneczkę, żeby się uspokoiła. Ale nie może jej zabrać do domu, bo akurat ma ciężki przypadek w Brentwood Heights. Vance Conried wyprowadza z garażu swój samochód i wiezie ją do domu, tymczasem doktorek dzwoni do biura, do pielęgniarki, i prosi ją, żeby wpadła do niego do domu i sprawdziła, jak się miewa zoneczka. I wszystko gra. Conried wraca do swoich żetonów, pielęgniarka widzi, że pani doktorowa leży spokojnie w łóżku, i wychodzi. Pokojówka idzie spać. Jest mniej więcej północ, może kilka minut po północy.

Gdzieś około drugiej nad ranem napatoczył się tam Harry Matson. Jego ludzie pilnują nocami okolicznych domostw, a tej nocy obchód robi sam Matson. Na ulicy, gdzie mieszka nasza pani doktorowa, słyszy warkot samochodu dochodzący z ciemnego garażu. Idzie sprawdzić, co jest grane, i na podłodze znajduje blondynę. Blondyna leży na plecach, w przezroczystej piżamce i pantofelkach, a włosy ma okopcone spalinami z rury wydechowej.

M'Gee zrobił krótką przerwę, żeby łyknąć whisky i po raz któryś rozejrzeć się po moim biurze. Patrzyłem, jak ostatnie promienie zachodzącego słońca muskają parapet okna i znikają w ciemnej rozpadlinie zaułka.

- Więc co ten palant robi? - kontynuował M'Gee, wycierając usta jedwabną chusteczką do nosa. - Dochodzi do wniosku, że lalunia nie żyje. Może i faktycznie nie żyje, ale w przypadku śmierci przez zaccadzenie nigdy nic nie wiadomo, bo mają teraz tę nową kurację błękitem metylenowym i...

- Na miłość boską - wtrąciłem. - Powiedz wreszcie, co zrobił.

- Nie wzywa glin - odparł surowo M'Gee. - Gasi silnik, wyłącza latarkę i zmiata do domu, a mieszka kilka przecznic dalej. W domu namierza telefonicznie doktorka i po chwili są już z powrotem w garażu. Doktorek stwierdza zgon. Każe Matsonowi wejść bocznymi drzwiami do domu i zadzwonić bezpośrednio do szefa miejscowej policji. Matson wchodzi, dzwoni i wkrótce przyjeżdża tam szef z kilkoma pomagierami, a po nich karawaniarz, który w tym tygodniu ma dyżur jako zastępca koronera. Wywożą truposza, gość z laboratorium bierze próbkę krwi i stwierdza, że pełno w niej tlenu węgla. Koroner podpisuje co trzeba, lalunia zostaje skremowana, a sprawa zamknięta.

- No i co tu nie gra? - spytałem.

M'Gee dopił drugiego drinka i myślał chwilę, czy aby nie wypić trzeciego. Zdecydował, że najpierw wypali cygaro. Nie miałem cygar, i to go trochę wnerwiło, ale zapalił w końcu swoje.

- Jestem tylko zwykłym gliniarzem - odrzekł, przypatrując mi się spokojnie przymrużonymi od dymu oczyma. - Nie wiem. Wiem tylko, że Matsonowi zabrali licencję, że dał nogę z miasta, i że jest cały przerażony.

- Do diabła - powiedziałem. - Ostatnim razem, kiedy wdepnąłem w małomiasteczkowe gówno, rozłupali mi czaszkę. Jak się z tym Matsonem skontaktować?

- Dam mu twój numer. On się skontaktuje z tobą.

- Dobrze go znasz?

- Na tyle, żeby podsunąć mu ciebie - odrzekł. - Oczywiście, jeśli coś wyskoczy, zajrzę...

- Jasne, nie ma sprawy - wtrąciłem. - Zostawię ci ją na biurku. Wolisz bourbon czy żyto?

- Idź do diabła, Dalmas. Szkocką.

- Jak ten Matson wygląda?

- Średniej budowy ciała, pięć stóp i siedem cali wzrostu, sto siedemdziesiąt funtów wagi, szpakowate włosy.

Nalał sobie malucha, szybko wypił i już go nie było.

Siedziałem w biurze jeszcze z pół godziny i wypaliłem o wiele za dużo papierosów. Zapadł zmrok i miałem sucho w ustach. Nikt nie zadzwonił. Zapaliłem światło, umyłem ręce, wypłem naparsteczek i zakorkowałem butelkę. Nadeszła pora coś przegryźć.

Miałem już kapelusz na głowie i wychodziłem z biura, kiedy zobaczyłem w holu posłańca z Green Feather, który szedł rozglądając się po drzwiach. Szukał mojego numeru. Podpisałem świstek i wcisnął mi nieregularnych rozmiarów paczkę, owiniętą marnym żółtym papierem, jakiego używają w pralniach. Postawiłem paczkę na biurku i przeciąłem sznurek. W środku znalazłem zawiniątko w bibułce i kopertę z listem i płaskim kluczykiem. List był bez żadnego wstępu:

*Przyjaciel z biura szeryfa dał mi ten adres i polecił mi pana jako człowieka, któremu mogę zaufać. Muszę się ukrywać, wpadłem w tarapaty i chcę się z nich wyplątać. Proszę przyjść po zmroku do Tennyson Arms Apartments numer 524, na Harvard koło Szóstej. Jeśli mnie nie będzie, niech pan otworzy tym kluczem i wejdzie. I niech pan uważa na kierownika, Pata Reela, bo mu nie ufam. Proszę ukryć but w bezpiecznym miejscu i go nie obmacywać.*

*P.S. Nazywają go Fiołek, ale nie wiem dlaczego.*

Ja wiedziałem. Bo żuł cukierki odświeżające o zapachu fiołków. List był nie podpisany i chyba trochę chaotyczny. Rozwinąłem pakunek.

Zawierał zielony aksamitny pantofelek, na oko czwórka, wykończony białą skórką. Na skórzanej wyściółce odcisnięto złoty napis. Pochyłe litery układały się w słowo Verschoyle. Z boku, gdzie zwykle widniał numer obuwia, niezmywalnym tuszem dopisano symbol S465. Wiedziałem, że to nie może być rozmiar buta, ponieważ firma Verschoyle, Inc. z ulicy Cherokee w Hollywood robiła buty tylko na miarę; poza tym robiła jeszcze obuwie teatralne i buty jeździeckie.

Usiadłem wygodniej, zapaliłem papierosa i myślałem o tym przez chwilę. W końcu sięgnąłem po książkę telefoniczną, odszukałem numer Verschoyle, Inc. i zadzwoniłem.

Po kilku sygnałach zaświergotał mi w ucho męski głos:

- Halo? Słucham?

- Z panem Verschoylem, proszę, osobiście - warknąłem. - Mówi Peters z Biura Identyfikacyjnego.

- Nie powiedziałem z jakiego.

- Och, pan Verschoyle już wyszedł. Zakład jest już zamknięty, zamykamy o piątej trzydzieści. Mówi Pringle, księgowy Pringle. Czy mogę...

- Taaa. Odzyskaliśmy od pasera parę waszych butów. Oznaczone są symbolem es cztery sześć pięć. Mówi to panu coś?

- O tak, oczywiście. To ostatni numer. Czy mam go dla pana odszukać?

- Jak najbardziej - odrzekłem.

Zajął mu to ledwie chwilę.

- Tak, jak myślałem, oczywiście. To numer pani Leland Austrian. Bay City, ulica Altair numer 736. Robiliśmy dla niej wszystkie buty. Tak, to bardzo smutne. Jakies dwa miesiące temu zamówiła u nas dwie pary szmaragdowych czółenek.

- Co znaczy smutne?

- Och, no przecież ona nie żyje. Popełniła samobójstwo.

- Mówisz pan? To co, obstalowała dwie pary czółenek, hę?

- Tak, dwie identyczne pary. Klienci często tak robią. Zamawiają dwie pary obuwia w delikatnych kolorach, a potem plamka tu, kilka kropeczek tam i można je dopasować do każdej sukienki, więc...

- Dobra. Dzięki, panie Pringle, i trzymajcie się tam - Odłożyłem słuchawkę.

Wziąłem do ręki pantofelek i dokładnie go sobie obejrzałem. Nie noszono go, to pewne. Na cienkiej skórzanej podeszwie nie zauważyłem żadnych rys czy otarć. Zastanawiałem się, co też ten Matson z nim wyczyniał.

Zamknąłem but w sejfie i poszedłem na kolację.





## *Morderstwo na kredyt*

Tennyson Arms było staromodną, ośmiopiętrową kamienicą z ciemnoczerwonej cegły. Kamienica miała szeroki dziedziniec wewnętrzny z kilkoma palmami, betonową fontanną i z przesadnie zadbanymi klombami. Przy gotyckich drzwiach wisiały latarnie, a hol wyłożono czerwonym pluszem. Hol był wielki i pusty, jeśli nie liczyć znudzonego kanarka w poślacanej klatce, wielkiej jak beczka. Wyglądało toto na miejsce, gdzie mieszkają sobie wdowy korzystające z dożywotniej renty, i to wcale niemłode wdowy. Winda była z tych automatycznych, co to same otwierają drzwi, kiedy dojadą, gdzie mają dojechać.

Szedłem po wąskim kasztanowym dywanie wyściełającym korytarz na piątym piętrze. Nikogo nie widziałem, nic nie słyszałem i nie czułem, żeby ktoś gdzieś gotował. Panowała cisza jak w gabinecie ministra. Mieszkanie numer 524 musiało być chyba od podwórza, bo tuż koło drzwi znajdowało się witrażowe okno. Zapukałem, niezbyt głośno, nikt mi nie otworzył, więc skorzystałem z płaskiego kluczyka, wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Po drugiej stronie pokoju połyskiwało lustro zawieszane nad składanym łóżkiem w ścianie. Dwa okna w ścianie, gdzie mieściły się drzwi, były zamknięte i na wpół zasłonięte ciemnymi storami, ale z mieszkań naprzeciwko wpadało przez szpary wystarczająco dużo światła, żeby wyłowić z mroku ciężkie, masywne meble, jakie były w modzie dziesięć lat temu, i odbić się od dwóch mosiężnych klamek. Zasłoniłem szczelnie story i włączywszy kieszonkową latarkę, ruszyłem z powrotem do drzwi. Pstryknąłem przełącznikiem i z lampek żyrandola, uformowanych w kształt kolorowych świec, buchnęło światło. Było tak ponure, że pokój wyglądał jak kaplica cmentarna. Zapaliłem stojącą lampę z czerwonym abażurem, zgasilem górne oświetlenie i zacząłem systematycznie lustrować wnętrze.

W kioskowej ubieralni za ścianą, przy której stał tapczan, ujrzałem komodę. Na komodzie leżała czarna szczotka i grzebień. Między zębami grzebienia tkwił szpakowaty włos. Była tam też puszcza talku, latarka, zmięta męska chusteczka do nosa, bloczek papieru listowego, pióro i buteleczka z atramentem na bibule - rzeczy, jakie można by znaleźć w każdej walizce podróźnej. Koszule kupiono w sklepie z galanterią męską w Bay City. Na wieszaku wisiał ciemnoszary garnitur, na podłodze stała para butów z niewyprawionej skóry. W łazience leżała maszynka do golenia, tuba piankowego kremu, kilka żyletek, stała szklanka z trzema bambusowymi szczoteczkami do zębów i wałało się kilka drobiazgów. Na porcelitowym rezerwuarze zauważyłem książkę oprawioną w czerwone płótno - *Dlaczego zachowujemy się jak ludzie Dorsey'a* - z gumową zakładką na stronie 116. Otworzyłem książkę i właśnie zacząłem czytać o ewolucji Ziemi, życiu i seksie, kiedy w saloniku zadzwonił telefon.

Wyślizgnąłem się z łazienki i przeciąwszy wyłożony dywanem salonik, podszedłem do tapczanu. Telefon stał tuż obok - dzwonił i dzwonił. Jakby w odpowiedzi, na ulicy zatrąbił klakson. Kiedy odezwał się ósmy dzwonek, wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po słuchawkę.

- Pat? Pat Reel? - spytał czyjś głos.

Nie wiedziałem, jak by odpowiedział Pat Reel, więc tylko mruknąłem.

Głos po tamtej stronie był silny i chropowaty. Brzmiał jak głos ostrego twardziela.

- To ty, Pat?

- Jasne - burknąłem.

Cisza. Chyba nie dał się podejść... A jednak!

- Tu Harry Matson. Cholernie mi przykro, ale dzisiaj nie wrócę, nie wyrobię się. Coś mi wypadło. Sprawilem ci duży kłopot?

- Jasne - mruknąłem.

- Co?

- Jasne - powtórzyłem.

- Chryste, znasz tylko jedno słowo?!

- Jestem Grekiem.

Roześmiał się. Wyglądało na to, że jest z siebie zadowolony.

- Jakich szczoteczek do zębów używasz, Harry? Zdecydowanie mniej zadowolony, gwałtownie wypuścił powietrze.

- Hę?!

- Chodzi mi o szczoteczki do zębów - tłumaczyłem. - Wiesz, takie coś, czym niektórzy ludzie szorują sobie zęby. Jakich używasz?

- A idź do diabła!

- Będziemy na ciebie czekali. Razem.

Teraz się wściekł.

- Słuchaj, ty sprytna małpo! Nie wytniesz nam żadnego numeru, jasne? Znamy twoje nazwisko, mamy twój numer telefonu i jeśli będziesz wtykał nos w nie swoje sprawy, znajdziemy ci odpowiednią przechowalnię, jasne? A Harry już tam nie mieszka! Ha, ha, ha.

- Skasowaliście, co?

- Powiedzmy, że go skasowaliśmy. A co myślałeś? Że zabraliśmy go do kina?

- To kiepsko - odrzekłem. - Szefowi się to nie spodoba.

Nie czekając, co powie, odłożyłem słuchawkę, odstawiłem telefon na stolik koło tapczanu i

rozmasowałem sobie kark. Wyjąłem z kieszeni płaski kluczyk, wytarłem go chusteczką i ostrożnie położyłem na stoliku. Wstałem, podszedłem do okna i rozchyliłem story, żeby wyrzec na prostokątny, upstrzony palmami dziedziniec. W pokoiku naprzeciwko, na tym samym piętrze, siedział łysy facet. Siedział oświetlony ostrym, jaskrawym światłem i ani drgnął. Nie wyglądał mi na szpicla.

Opuściłem zasłonę, włożyłem kapelusz i zgasilem lampę. Położyłem latarkę na podłodze, chusteczką do nosa przetarłem klamkę i cicho otworzyłem drzwi.

Ośmioma zakrzywionymi niczym haki palcami trzymał się futryny. Wszystkie oprócz jednego były białe jak wosk. Właściwie to jakby na nich wisiał.

Oczy miał płytko osadzone, błękitne i szeroko otwarte. Patrzyły na mnie, ale mnie nie widziały. Grube, proste szpakowate włosy były zapaćkane krwią, która przybrała na nich szkarłatną barwę. Skroń miał zmiażdżoną. Na policzek ściekał z niej strumyk krwi. Palec różniący się kolorem od pozostałych był zdeformowany, rozbity na miazgę aż do drugiego stawu. Z poszarpanego ciała wystawały ostre odłamki rozszczerzonej kości. Coś, co było kiedyś chyba paznokciem, wyglądało teraz jak wystrzępiony kawałek szkła.

Mężczyzna miał na sobie brązowy garnitur z trzema naszywanymi kieszeniami. Oderwane kieszenie zwisały pod dziwnymi kątami, odsłaniając podszewkę z ciemnej alpaki.

Oddychał cichutko, wydając przy tym stłumione, ledwo słyszalne dźwięki, które brzmiały jak odgłos kroków na szeleszczących liściach. Usta miał nienaturalnie szeroko otwarte, jak karp, i lała się z nich krew. Korytarz za nim był pusty jak świeżo wykopany grób.

Na nagiej klepce obok dywanowego bieżnika zapiszczały nagle gumowe obcasy. Palce puściły futrynę, strzęp człowieka stanął o własnych siłach. Nogi nie wytrzymały. Załamały się pod nim, ciało zaczęło się obracać jak ciało pływaka walczącego z falą i runęło na mnie.

Zacisnąłem zęby, rozstawiłem nogi i kiedy wykonał pół obrotu, chwyciłem go od tyłu. Dwóch facetów z trudem by sobie z nim poradziło. Postąpiłem krok w głąb salonu i omal nie upadłem. Zrobiłem jeszcze dwa i wciągnąłem skatowanego mężczyznę za próg. Ułożyłem go na boku tak wolno, jak tylko zdołałem, i ciężko dysząc, kucnąłem. Natychmiast jednak wstałem, wróciłem do drzwi i zamknąłem je na klucz. Włączyłem górne światło i ruszyłem do telefonu.

Umarł, nim zdążyłem tam dojść. Usłyszałem głuchy stukot, potem ciężkie westchnienie i zaległa cisza. Wyciągnięta ręka, ta nie naruszona, drgnęła, palce wygięły się wolno w sflaczały łuk i znieruchomiały. Podszedłem do niego, wbiłem mu palce w szyję i wymacałem tętnicę. Pulsu nie wyczułem, najslabszego. Z portfela wyjąłem lusterko w stalowej oprawce i przystawiłem je do otwartych ust nieszczęśnika. Trzymałem minutę. Kiedy je obejrzałem, na szkle nie było ani śladu wilgotnej mgiełki. Harry Matson wrócił z przejażdżki do domu.

Ktoś włożył cichutko klucz do zamka. Nie miałem chwili do stracenia. Zanim znalazł się w środku, byłem już w łazience. Z rewolwerem w ręku wypatrywałem przez szparę w drzwiach.

Facet wszedł szybko i zwinnie niczym kot przechodzący przez wahadłowe drzwi. Zerknął na

żyrandol, spojrzął w dół, na podłogę i jego oczy znieruchomiały. Znieruchomiał cały, nie drgnął mu żaden mięsień. Po prostu stał i patrzył.

Był mężczyzną sporawym i miał na sobie rozpięty płaszcz, jakby przed chwilą skądś wrócił albo właśnie gdzieś wychodził. Kapelusz z szarego filcu był nasunięty na tył głowy. Miał kremowobiałe włosy, krzaczaste czarne brwi i szeroką, różowawą i kościstą twarz ważnego polityka. Kąciki ust zadarte do góry wskazywały na to, że zwykle gościł na nich uśmiech - zwykle, ale nie teraz. Ssał głośno na wpół wypalone cygaro, które gwałtownym ruchem warg co chwila przerzucał w tę i z powrotem.

Włożył do kieszeni pęk kluczy i powiedział:

- Boże!

Powtórzył to szeptem kilka razy, a potem zrobił krok do przodu i wolno, niezdarnie ukucnął koło zwłok. Przyłożył wielkie paluchy do szyi nieboszczyka, cofnął je, pokręcił głową i rozejrzał się po pokoju. Na drzwi do łazienki, za którymi stałem, też spojrzął, ale wyraz jego oczu nie uległ zmianie.

- Jeszcze ciepły - rzekł nieco głośniejszym głosem. - Na miazgę go stłukli...

Wstał wolno i zaczął kiwać się na piętach. Górne światło nie podobało mu się tak samo jak mnie. Zapalił stojącą lampę, zgasił żyrandol, wrócił do nieboszczyka.

Przerzucił kikut cygara z lewego kącika ust do prawego, wyciągnął z kieszeni zapałki, kilkakrotnie obróciwszy cygaro w płomieniu, starannie je przypalił, zdmuchnął zapałkę i schował ją do kieszeni. Zrobił to wszystko, ani na chwilę nie odrywając wzroku od trupa na podłodze.

Obszedł go bokiem i usiadł na końcu tapczanu. Skrzypnęły posępnie sprężyny. Sięgnął po telefon. Nawet nie rzucił nań okiem, bo nadal wpatrywał się w nieboszczyka.

Ujął aparat i w tej samej chwili telefon zadzwonił. Aż nim rzuciło. Wywrócił oczyma, łokcie mu drgnęły i przywarły do boków grubego płaszcza. Uśmiechnął się niepewnie, podniósł słuchawkę i głębokim, soczystym głosem powiedział:

- Halo?... Tak, mówi Pat.

Dobiegł mnie suchy, niewyraźny i skrzekliwy głos jego rozmówcy. Twarz Pata Reela stopniowo czerwieniała, aż przybrała barwę świeżej wątroby wołowej. Zaczął wściekle potrząsać słuchawką.

- A więc to pan Gębal we własnej osobie! - ryknął tubalnie. - Posłuchaj, głupi palancie, wiesz, co ci powiem? Ten twój sztywniak jest tutaj. Leży dokładnie przede mną, na moim dywanie... Jak się tu znalazł? A skąd, do diabła, mogę wiedzieć? Po mojemu to go tu kropnąłeś i zostawiłeś. I coś jeszcze ci powiem. To cię będzie od cholery kosztowało, kapujesz, od cholery. Morderstwo na kredyt? W mojej chałupie? Niedoczekanie twoje! Namierzam ci faceta, a ty go załatwiasz w moim własnym domu! Kapniesz mi za to tysiąc dolców i ani centa mniej. I zabierzesz mi go stąd, kapujesz? Przyjedziesz i go sobie weźmiesz.

Znów ten suchy, skrzekliwy głos. Pat Reel słuchał. Oczy zrobiły mu się prawie śpiące, z twarzy wolno odpływała krew.

- No dobra już, dobra - rzucił trochę spokojniej. - Tylko żartowałem... Za pół godziny czekaj na mnie na dole.

Odłożył słuchawkę i wstał. Nie spojrzął na drzwi do łazienki, nie spojrzął nigdzie. Zaczął pogwizdywać. Podrapał się po brodzie, zrobił krok w stronę drzwi wejściowych, zatrzymał się i znów się podrapał. Nie wiedział, że w mieszkaniu ktoś jest, nie wiedział, że sterczę w łazience - i nie miał broni. Drugi krok w stronę drzwi. Gębał musiał mu coś powiedzieć i Reel chciał teraz jak najszybciej stąd wyjść. Trzeci krok w stronę drzwi i... zmienił zdanie.

- Szlag by trafił tą mordziastą kanalię - powiedział głośno. Szybko zlustrował całe pomieszczenie.  
- Chcesz mnie wykiwać, hę?

Podniósł rękę do zatrzasku łańcucha. Nagle opuścił ją i znów ukląkł koło trupa. Przesunął go trochę, przetaczając bez wysiłku po dywanie, i zerknął z ukosa na miejsce, gdzie spoczywała głowa nieboszczyka. Niezadowolony, pokręcił głową, wstał i chwycił umarlaka pod pachy. Spojrzał przez ramię na ciemną łazienkę i zaczął się cofać w jej stronę. Włókł Matsona, posapywał i gryzł niedopałek cygara, którego ani na chwilę nie wyjął z ust. W świetle lampy połyskiwały jego kremowobiałe włosy.

Był wciąż pochylony i miał rozkraczone nogi, kiedy za nim stanąłem. W ostatniej sekundzie mógł mnie nawet usłyszeć, ale to było już bez znaczenia. Przerzuciłem rewolwer do lewej ręki, bo w prawej ścisnąłem małą kieszonkową kichę. Przyłożyłem mu w bok głowy, tuż za prawym uchem, przyłożyłem solidnie, z uczuciem, jakbym to uwielbiał.

Pat Reel zwałił się w przód i utkwiał głową między nogami trupa, którego włókł. Jego kapelusz odtoczył się z wdziękiem na bok. Reel ani drgnął. Obszedłem go i ruszyłem do drzwi.



## *Dżentelmen z prasy*

Na Western Avenue znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do biura szeryfa. Fiołek jeszcze tam był, wychodził właśnie do domu.

- Jak się nazywa ten twój szwagier, co robi za reportera w Bay City? - spytałem.
- Kincaid. Mówią na niego Dolly Kincaid. Taki mały facet.
- Gdzie może teraz być?
- Kręci się koło ratusza. Myśli, że ma dryg do pracy w policji. A bo co?
- Spotkałem Matsona. Wiesz, gdzie on mieszka?
- Nie. Przed chwilą do mnie dzwonił. No i co o nim myślisz?
- Zrobię dla niego, co się da. Będziesz dziś wieczorem w domu?
- A po co miałbym gdzieś wychodzić? Dlaczego pytasz?

Nie powiedziałem mu dlaczego. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem do Bay City. Dojechałem tam koło dziewiątej. Komenda główna policji - ledwie kilkanaście pokoików - ulokowała się w gmachu ratusza i wraz z resztą mieszczących się tu instytucji tworzyła zgrabny łańcuszek złożony z haczyka, przynęty i Biblii. Przepchnąłem się przez zwartą grupkę odpicowanych elegancików i wszedłem do oświetlonego korytarza z kontuarem pośrodku. W rogu stała wewnętrzna centrala telefoniczna, a przy niej siedział mundurowy.

Oparłem się łokciem o kontuar i tajniak z płaszczem na rękę i z kaburą wielkości kija baseballowego pod pachą zerknął na mnie znad gazety.

- Taa? - rzucił i prawie nie odwracając głowy, strzyknął śliną do spluwaczki. Aż zadzwoniło.
- Szukam faceta nazwiskiem Dolly Kincaid - powiedziałem.
- Wyszedł coś zjeść. Ja go zastępuję - odrzekł twardym, opanowanym głosem.
- Dziękuję. Macie tu salę konferencyjną?
- Taa. I kibel. Chcesz pan zobaczyć?
- Spokojnie. Nie miałem zamiaru obrażać waszego miasteczka.

Znów strzyknął do spluwaczki.

- Sala konferencyjna jest w drugim końcu korytarza. Nikogo tam nie ma. A Dolly zaraz wróci,



chyba że się załapał do Hollywoodu.

Do holu wszedł drobnej budowy młodzian o delikatnej, różowawej twarzyczce, blond włosach i niewinnych oczkach. W lewej ręce trzymał na wpół zjedzonego hamburgera. Na tył małej głowy wbił sobie kapelusz, w którym wyglądał jak reporter z filmu. Kołnierzyk koszuli miał rozpięty, a końce przekrzywionego krawata wystawały spod płaszcza. Gdyby był jeszcze zalany, stanowiłby idealny wzorzec wścibskiego dziennikarza polującego na hollywoodzkie sensacyjki.

- Coś się dzieje, chłopaki? - rzucił od niechcienia.

Spluwaczka zadzwoniła po raz trzeci i czarnowłosy tajniak powiedział:

- Słyszałem, że burmistrz zmienił gacie, ale to tylko plotki.

Młodzian uśmiechnął się machinalnie i odwrócił.

- Ten facet chce się z tobą widzieć - dodał tajniak z armatą na żebrach.

Kincaid odgryzł kęs hamburgera i spojrzał na mnie z nadzieją w oku.

- Jestem przyjacielem Fiołka. Gdzie możemy pogadać? - spytałem.

- Chodźmy do sali konferencyjnej.

Kiedy wychodziliśmy, czarnowłosy pluj badawczo mi się przyglądał. W jego oczach wyczytałem coś, co mówiło, że miał ochotę skuć komuś mordę i myślał, że się nadam.

Przy drugim końcu korytarza był kiszkowaty, nagi pokój, w którym stał pokiereszowany stół i trzy albo cztery krzesła. Na końcu stołu stały dwa telefony, a dokładnie pośrodku każdej ściany wisiały popstrzone przez muchy portrety: Waszyngtona, Lincolna, Horacego Greenleya i jeszcze kogoś, kogo nie rozpoznałem. Na podłodze walało się pełno gazet.

Kincaid zamknął drzwi, usiadł na stole, kiwnął nogą i wbił zęby w reszkę hamburgera.

- Nazywam się John Dalmas. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles. Co powiesz na małą przejażdżkę? Ulica Altair numer siedemset dwadzieścia sześć. Opowiedziałbyś mi o sprawie tej Austrian. Ale może lepiej zadzwoń najpierw do Fiołka, żeby nas sobie przedstawił.

- Podsunąłem mu wizytówkę.

Różanolicy młodzian zeskoczył gwałtownie ze stołu i wepchnął wizytówkę do kieszeni, nawet na nią nie zerknąwszy.

- Chwila - szepnął mi do ucha.

Podszedł cicho do portretu Horacego Greenleya, odchylił go od ściany i nacisnął fragment pomalowanego tynku. Tynk ustąpił - był to kawałek materiału w kolorze ściany. Kincaid spojrzał na

mnie i uniosł brwi. Skinąłem głową. Opuścił obraz i wrócił do stołu.

- Mikrofon - szepnął cichutko. - Rzecz jasna nie wiem, kto i kiedy słucha, i czy to cholerstwo w ogóle jeszcze działa.

- Horacemu Greenleyowi bardzo by się to podobało - powiedziałem.

- Taa. Dzisiaj nic się tutaj nie dzieje. Chyba mógłbym wyjść. Al De Spain i tak mnie zastąpi. - Mówił teraz głośno.

- Ten czarnowłosy gliniarz?

- Uhm.

- Co on taki zły?

- Zdegradowali go do zwykłego szlifibruka. Dzisiaj nawet nie pracuje, tak tylko sterczy. A twarż z niego taki, że cała policja nie dałaby rady go wyrzucić.

Zerknąłem w stronę mikrofonu i uniosłem pytająco brwi.

- W porządku - szepnął Kincaid. - Od czasu do czasu muszę im dać coś do przeżucia, nie?

Podszedł do brudnej umywalki w rogu sali, umył ręce mydłem w płynie i wytarł je w chusteczkę do nosa. Właśnie wkładał ją do kieszeni, kiedy otworzyły się drzwi. Stał w nich niski szpakowaty mężczyzna w średnim wieku. Stał i patrzył na nas. Twarz miał bez wyrazu.

- Dobry wieczór, szefie - pozdrowił go Kincaid. - Mogę coś dla pana zrobić?

Komendant spojrzał na mnie bez słowa i chyba bez przyjemności. Miał oczy koloru morskiej wody, wąskie, uparte usta, nos łasicy i niezdrową cerę. Mikry był jak na gliniarza.

Skinął lekko głową i spytał:

- Kim jest twój przyjaciel?

- To kumpel mojego szwagra. Prywatny detektyw z Los Angeles. Zaraz... - Wepchnął rękę do kieszeni i zaczął gorączkowo szukać wizytówki. Nie pamiętał nawet mojego nazwiska.

- Co jest? - rzucił szorstko szef. - Prywatny detektyw? Ma pan tu jakiś interes?

- Nie powiedziałem, że jestem u was służbowo - odrzekłem.

- To dobrze - mruknął. - To bardzo dobrze. Dobranoc.

Szybko wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

- To Anders. Bezbłędny facet - powiedział głośno! Kincaid. - Lepszych nie ma. - Patrzył na mnie

jak przerażony królik.

- Nigdy nie było - przyznałem równie głośno. - Nie w Bay City.

Przez chwilę myślałem, że młodzian zemdleje, ale niej zemdłał. Wyszliśmy przed ratusz, wsiedliśmy do mojego samochodu i ruszyliśmy.

Zatrzymałem wóz na ulicy Altair, naprzeciwko domu doktora Lelanda Austriana. Noc była bezwietrzna, księżyc spał w kołnierzu z lekkiej mgły. Z plaży pod urwiskiem dochodził lekki, przyjemny zapach słonej wody i wodorostów. Małe światełka pozycyjne wytyczały granice przystani jachtowej, a trzy mola wyglądały stąd jak trzy migotliwe linie. Daleko na morzu kotwiczył spory jacht z dwoma wielkimi masztami. Od dziobu poprzez oba maszty aż po rufę biegł świetlisty łańcuch. Teraz tam nie wędkowali. Teraz odchodziło tam chyba coś innego.

Altair była ślepą uliczką zamkniętą ozdobnym żelaznym płotem, ogradzającym wielką posesję tuż obok. Domy, zbudowane na dobrze rozplanowanych, osiemdziesięcio-, stustopowych działkach, stały tylko po jednej stronie ulicy, od lądu. Od strony morza biegł wąski chodnik i niski murek, za którym skarpa urywała się niemal pionowo w dół.

Dolly Kincaid wcisnął się w kąt siedzenia. Przed jego małą, rozmazaną w mroku twarzą żarzył się co jakiś czas koniuszek papierosa. Dom Austriaków był ciemny, tylko nad drzwiami paliła się mała lampka. Jego ściany wyłożono sztukaterią, w poprzek dziedzińca biegł parkan z żelazną bramą i furką, za parkanem widziałem garaż. Boczne drzwi garażu i boczne drzwi domu połączono wycementowanym deptakiem. Na parkanie widniała tablica z brązu i wiedziałem, co na niej wypisano: *Dr med. Leland M. Austrian.*

- No dobra - zacząłem. - Co było z tą sprawą nie tak?

- Nic. Tylko będę miał przez ciebie kłopoty - odrzekł wolno Kincaid.

- Bo?

- Bo ktoś musiał słyszeć, jak mówiłeś, dokąd jedziemy. Przez ten mikrofon. Dlatego Anders przyszedł cię zobaczyć.

- De Spain mógł wyczuć, że jestem tajniakiem. Na podstawie mojego wyglądu. I mógł dać mu cynk.

- Nie. Szef to facet z jajami i De Spain go za to nienawidzi. Cholera, przecież jeszcze tydzień temu był porucznikiem. Anders nie chce, żeby ktoś wokół tego węszył. Nie pozwolił nam o tym pisać.

- Wspaniałą prasę macie w Bay City.

- Mamy tu wspaniały klimat, a ci z prasy to dupowate marionetki.

- Dobra. Masz szwagra, który pracuje w wydziale zabójstw w biurze szeryfa. Wszystkie gazety w Los Angeles szeryfa popierają. O ile pamiętam, wszystkie oprócz jednej. Ale szeryf mieszka tutaj i

jak wielu innych zaniedbuje własne podwórko. Więc masz cykora, tak?

Dolly Kincaid wyrzucił niedopałek przez okno. Papieros zatoczył czerwony łuk i upadł na wąski chodnik. Leżał tam i żarzył się różowawo.

Nacisnąłem guzik startera.

- Zapomnij o tym - powiedziałem. - Nie będę ci już sprawiał kłopotów.

Wrzuciłem jedynkę, samochód ruszył, przejechał kilka jardów i wtedy Kincaid pochylił się i szarpnął za wajchę ręcznego hamulca.

- Nie spietrałem - warknął. - Co chcesz wiedzieć?

Wyłączyłem silnik i nie odrywając rąk od kierownicy, usiadłem wygodniej.

- Po pierwsze, dlaczego zabrali Matsonowi licencję? Matson jest moim klientem.

- Ach, Matson... Powiadają, że chciał podejść doktora Austriana. Nie tylko zabrali mu licencję, ale i wyrzucili go z miasta. Pewnej nocy kilku silnorękich z gnatami wepchnęło go do samochodu. Zwyoברacali go trochę i kazali mu zniknąć z miasta. Zameldował o tym na komendzie, a chłopaki tarzali się ze śmiechu. Ale nie przypuszczam, żeby to była sprawka glin.

- Znasz jakiegoś Gębala? To taka ksywka.

Myślał chwilę.

- Nie. Jest taki jeden przygłup, Moss Lorenz, kierowca burmistrza. Ma gębę, na której można postawić pianino, ale nie słyszałem, żeby mówili na niego "Gębala". Kiedyś robił u Vance'a Conrieda. Znasz Conrieda?

- Właśnie jego śladem idę. Więc gdyby Conried chciał skasować kogoś, kto mu przeszkadzał, a zwłaszcza kogoś, kto narobił mu kłopotów w Bay City, ten Lorenz nadałby się do tego jak znalazł. Bo burmistrz musiałby go kryć, przynajmniej przez jakiś czas.

- Skasować? - spytał Kincaid. - Kogo? - Głos mu nagle ochrypl, wyczułem w nim napięcie.

- Chodzi o Matsona - wyjaśniłem. - Nie tylko wyrzucili go z miasta. Wytropili go w mieszkaniu w Los Angeles i ten cały Gębala dał mu wycisk. Matson musiał wciąż pracować nad czymś, nad czym pracował.

- Chryste... - szepnął Kincaid. - Nic o tym nie słyszałem.

- Nie tylko ty. Gliny z Los Angeles też nie. Znałeś Matsona?

- Trochę. Niezbyt dobrze.

- Powiedziałbyś, że to uczciwy gość?

- Bo ja wiem... Uczciwy jak każdy... Czemu nie, tak, był w porządku. Jezu, to skasowali go, tak?

- Uczciwy jak każdy platfus, co? - spytałem.

Z napięcia, nerwów i szoku - najmniej z rozbawienia - zachichotał. Zza rogu wyjechał jakiś samochód. Zaparkował przy krawężniku. Światła zgasły, ale nikt z niego nie wysiadł.

- A doktor Austrian? - spytałem. - Gdzie był, kiedy zamordowano mu żonę?

Dolly podskoczył.

- Jezu, kto powiedział, że ją zamordowano? - Aż mu dech zaparło.

- Myślę, że tak właśnie twierdził Matson. Ale wygląda na to, że bardziej mu zależało na szmalu za trzymanie języka za zębami niż na prawdzie. Jak by nie pograł, i tak by go znienawidzili. Dlatego przyłożyli mu kawałkiem ołowianej rury i po krzyku. Coś mi mówi, że to sprawka Conrieda. Conried nie pozwoliłby się nikomu szantażować, bo jeśli już w ogóle płaci, to najwyżej uczciwe łapówki. Ale z drugiej strony, byłoby dla niego lepiej, gdyby to doktor Austrian zamordował żonę, niż gdyby miała popełnić samobójstwo, splukawszy się przy jego rulecie. Może nie dużo lepiej, ale na pewno lepiej. Dlatego nie mogę wygłówkować, po co Conried miałby likwidować Matsona za gadanie o morderstwie. To nie klapuje. Skoro nie klapuje, to myślę, że Matson musiał gadać o czymś jeszcze.

- To twoje główkowanie coś ci kiedyś dało? - spytał grzecznie Kincaid.

- Nie. Robię to dla zabicia czasu, głównie wieczorem, kiedy wklepuję sobie krem w twarz. Ten laborant, który badał próbkę krwi. Kto to jest?

Kincaid przypalił następnego papierosa i spojrzał na samochód, który zatrzymał się niedawno przed domem na rogu uliczki. Samochód znów miał włączone światła i sunął wolniutko w naszą stronę.

- Facet nazywa się Greb - odrzekł. - Ma niewielkie laboratorium w Centrum Lekarzy i Chirurgów. Pracuje dla nich.

- Nieoficjalnie, co?

- Nie, ale oni nie mają własnych laborantów. Wszyscy grabarze robią na zmianę jako koronerzy, cały tydzień, więc wszystko gra, nie? Szef załatwia sprawy, jak chce.

- A dlaczego miałby w ogóle chcieć?

- Może dostaje polecenia od burmistrza? Może z kolei burmistrz dostaje cynk od szulerów, dla których robi Conried, a może bezpośrednio od niego samego. Conried mógłby na przykład wykonypować, że śmierć jakiejś zwariowanej laluni wplata go w coś, co odbije się na interesach klubu, i że dowiedzą się o tym jego szefowie.

- Racja - przyznałem. - Facet w tej gablocie nie wie, gdzie mieszka.

Samochód wciąż sunął tuż przy krawężniku. Reflektory znów zgasły, ale samochód się nie zatrzymał.

- Zanim nas kropną - mruknął Kincaid - powiem ci jeszcze, że pielęgniarka doktora Austriana była żoną Matsona. To takie brzydkie rude babsko, ale ma czym oddychać i na czym siadać. Leci na każdego.

- Też takie lubię - przyznałem. - Wyskakuj, przejdź do tyłu i przywaruj na podłodze. Ale migiem.

- Chryste...

- Rób, co mówię! - warknąłem. - Szybko!

Drzwi po prawej stronie otworzyły się cichutko i Kincaid wypełznął na ulicę niczym strużka dymu. Drzwi się zamknęły, otworzyły się tylne i kiedy zerknąłem za siebie, zobaczyłem na podłodze skulony cień. Przesiadłem się na fotel pasażera, znów otworzyłem drzwi i stanąłem na wąskim chodniku biegnącym wzdłuż urwiska.

Samochód był już blisko. Rozbłysły reflektory. Kucnąłem. Wóz skręcił. Światła omiotły mój samochód, minęły go i zgasły. Naprzeciwko stał mały czarny kabriolet. Przez minutę nie działo się nic, potem drzwi z lewej strony otworzyły się i z kabrioletu wysiadł kłocowaty mężczyzna. Wysiadł i ruszył w moją stronę. Wyjąłem rewolwer z kabury pod pachą, wetknąłem go za pasek spodni i zapiąłem dolny guzik płaszcza. Obszedłem od tyłu samochód i ruszyłem mu na spotkanie.

Zobaczył mnie i stanął jak wryty. Ręce miał opuszczone i nic w nich nie trzymał. Za to w ustach miał cygaro.

- Policja - rzucił krótko. Jego prawa ręka zaczęła wędrować niespiesznie do biodra. - Ładna noc, co?

- Wspaniała - odrzekłem. - Trochę mglista, ale lubię mgłę. Mgła zmiękcza powietrze i...

Przerwał mi bezpardonowo:

- Gdzie ten drugi?

- Hę?

- Bez wygłupów. Po prawej stronie samochodu widziałem ognek papierosa.

- To ja tam siedziałem. Nie miałem pojęcia, że palenie z prawej strony samochodu jest zabronione.

- Cwaniaczek, co? Kim pan jest i co pan tu robi? - W łagodnym, mglistym powietrzu od jego tłustej, nalanej twarzy odbijało się niewyraźne światło.

- Nazywam się O'Brien - powiedziałem. - Przyjechałem z San Mateo. Taka przejażdżka dla czystej przyjemności.

Dłoń tamtego była już przy biodrze.

- Poproszę o prawo jazdy. - Podeszedł na tyle blisko, że gdybyśmy obaj wyciągnęli ręce, mógłby ode mnie wziąć dokumenty.

- A ja poproszę o coś, co daje panu prawo o to prosić - odparłem.

Jego prawa ręka poruszyła się gwałtownie. Moja wyszarpnęła rewolwer zza paska i wycelowała go w brzuch faceta. Zastygł w bezruchu, jakby go zamroziło w bryle lodu.

- A może chce pan mnie napaść? - spytałem. - Chodzą tacy z niklowanymi blaszkami i napadają niewinnych ludzi.

Stał jak sparaliżowany, ledwo oddychał.

- Masz pan pozwolenie na tę spluwę? - spytał chrapliwie.

- Nieustająco. Niech pan pokaże odznakę, a natychmiast ją schowam. Chyba nie nosi jej pan na tyłku, co?

Upłynęła długa chwila. Wciąż się nie ruszał. Potem spojrzał na ulicę, jakby w nadziei, że zobaczy tam nadjeżdżający samochód. Z tyłu, z mojego wozu, dochodził cichy, świszczący oddech. Nie wiedziałem, czy kloc to słyszał czy nie. Sam dyszał tak ciężko, że jego oddechem można by prasować koszule.

- Przestań wreszcie robić z siebie idiotę - wycharczał z nagłą wściekłością w głosie. - Jesteś parszywym, tanim platfusem z Los Angeles, nikiem innym.

- Ostatnio podniosłem stawkę - zaprotestowałem. - Teraz biorę trzydzieści centów.

- A idź do diabła. Nie chcę, żebyś mi tu węszył, kapujesz? Tym razem tylko cię ostrzegam.

Odwrócił się na pięcie, przeciął ulicę i postawił nogę na progu otwartych drzwi kabrioletu. Obrócił wolno swoją spoconą szyję.

- Idź do diabła - powtórzył. - Zanim cię tam wyślemy.

- Do zobaczenia, tłuscioszku! - zawołałem. - Miło cię było przyłapać z opuszczonymi portkami!

Zatrzasnął drzwi, uruchomił silnik, ruszył ostro i z piskiem opon zawrócił. Zniknął za rogiem, jakby go wymiotło.

Wskoczyłem do wozu i pogałęm za nim. Dopadłem go na światłach przy Arguello Boulevard. Skręcił w prawo, ja w lewo.

Zza fotela wychynął Dolly Kincaid. Oparł się brodą o przednie siedzenie tuż obok mojego ramienia.

- Wiesz, kto to był? - wychrypiał. - Cyngiel Weems, prawa ręka naszego szefa. Mógł cię zastrzelić.

- Akurat, tak samo jak Kubuś Puchatek. Przejechałem kilka przecznic i zatrzymałem wóz, żeby mógł się przesiąść.

- Gdzie zostawiłeś samochód? - spytałem.

Zdjął swój wygnieciony reporterski kapelusz, trzepnął nim o kolano i założył na tył głowy.

- Przy ratuszu, na parkingu policyjnym. Bo co?

- To kiepsko - skonstatowałem. - Do Los Angeles będziesz musiał pojechać autobusem. Od czasu do czasu powinieneś nocować u siostrzyczki. Zwłaszcza dzisiaj.



## *Ruda*

Droga wiła się, prowadziła w górę i w dół, wiodła u podnóża wzgórz. Na północnym zachodzie migotały rozrzucone światelka, na południu lśnił cały ich dywan. Z tego miejsca trzy mola basenu portowego wyglądały jak cieniutkie świetliste ołówki na czarnym atlasie. W kanionach stała mgła pachnąca dziką roślinnością, ale wysoko między kanionami jej nie było.

Minąłem mały, ciemny warsztat samochodowy, zamknięty na noc, i jakieś pół mili za drogim ogrodzeniem jakiejś niewidocznej posesji wjechałem w następny szeroki kanion. Domów rozrzuconych na wzgórzach było coraz mniej, a w powietrzu unosił się silny zapach morza. Za domem z białą okrągłą wieżyczką skręciłem w lewo i przejechawszy między dwiema samotnymi lampami, dotarłem do wielkiego, ozdobionego sztukaterią budynku, stojącego nad szosą. Spomiędzy zasłon w oknach i spod arkad sączyło się mgliste światło. Padało na skupisko samochodów parkujących ukośnie wokół owalnego trawnika.

Klub "Conrieda". Nie wiedziałem dokładnie, co tam będę robił, ale pomyślałem sobie, że to jedyne miejsce, które muszę odwiedzić. Doktor Austrian wciąż jeszcze wędrował nie wiadomo gdzie i odwiedzał nie wiadomo jakich pacjentów. W lekarskiej centrali telefonicznej powiedzieli mi, że zwykle melduje się koło jedenastej. Teraz była dziesiąta piętnaście.

Zaparkowałem na wolnym miejscu i przeszedłem pod łukowatymi arkadami. Potężny Murzyn w komicznym uniformie południowoafrykańskiego marszałka polnego otworzył szerokie okratowane drzwi i rzucił:

- Kartę wstępu proszę.

Wcisnąłem mu w różowawą dłoń zwitek banknotów wartości dolara. Wielkie mahoniowe paluchy zacisnęły się na nim jak łyżka koparki na tonie żwiru. Drugą ręką zdjął mi z ramienia jakiś paproch, a na butonierce, gdzie tkwiła chusteczka, zawiesił metalowy znaczek.

- Nowy szef sali ma oko na wszystko, niestety - szepnął. - Dziękuję panu.

- Chcesz powiedzieć, że to skąpy bubek - rzuciłem i wszedłem do środka.

Hol - nazywali go foyer - wyglądał jak plan filmowy do zdjęć w klubie nocnym, jakby wytwórnia MGM kręciła w 1980 roku *Melodię Broadwayu*. W sztucznym świetle wyglądał tak, jakby kosztował milion zielonych i był wielki niczym boisko do gry w polo. Ale dywan kostek mi nie muskał. Z tyłu ujrzałem chromowany pomost, coś w rodzaju trapu okrętowego, który prowadził do restauracji. Na jego szczycie stał puciołowaty Włoch, szef sali i kelnerów. Stał z przyklejonym uśmiechem na twarzy, z szerokimi na dwa cale atlasowymi pasami na spodniach i plikiem jądłospisów w złotych oprawach pod pachą.

Były tam też łukowato wygięte schody wsparte na białych słupach, wyglądających jak emaliowane

płozy sań.

One z kolei prowadziły na drugie piętro, do sal gry. Na suficie zainstalowano sztuczne gwiazdy. Gwiazdy mrugały. Obok wejścia do ciemnego baru, zalanego szkarłatną poświatą jak z na wpół zapomnianej zmory nocnej, wisiąco wielkie okrągłe lustro, wbudowane w głęboką, tunelowatą niszę i zwieńczone egipskim strojem głowy. Przed lustrem poprawiała włosy platynowa blondyna ubrana na zielono. Jej wieczorowa suknia była z tyłu wycięta tak nisko, że na lędźwiach, mniej więcej cal nad miejscem, gdzie zaczynały się majteczki - o ile w ogóle je nosiła - dostrzegłem czarną ozdobną myszkę.

Szatniarka w brzoskwińowej piżamie z naszytymi na niej małymi smokami podeszła, żeby zabrać mój płaszcz i kapelusz. Oczy miała czarne, błyszczące i pozbawione wyrazu, jak podeszwy skórzanych pantofli. Dałem jej ćwierć dolara i zatrzymałem kapelusz. Z chromowanego trapu schodziła dziewczyna sprzedająca papierosy; niosła je na tacy wielkości pięcioletniego pudła z cukierkami. We włosach miała pióra, ubrania na sobie tyle, że starczyłoby ledwie na zakrycie znaczka za trzy centy; jedna z jej pięknych, długich nóg była pomalowana na kolor złoty, a druga na srebrny. Na jej twarzy gościł zimny, pogardliwy uśmiezek kobiety, która jest umówiona na randki z takim wyprzedzeniem, że musiałyby dwa razy pomyśleć, nim zaakceptowałyby zaproszenie od maharadży z kosztem rubinów pod pachą.

Zanurzyłem się w miękkiej, szkarłatnej poświacie baru. Delikatnie dzwoniło szkło, słyszałem stonowane głosy, z rogu dochodziły mnie dźwięki pianina i śpiew eunu-chowatego tenora, który z poufałością barmana przyrządzającego klientowi fikołka zawodził *Mój mały Buckeroo*. Moje oczy przyzwyczajały się stopniowo do krwistego światła i widziałem już co nieco. W barze nie było tłoczno, choć nie całkiem pusto. Ktoś roześmiał się głośno i nienaturalnie, a pianista wyraził swoje niezadowolenie, przejeżdżając paznokciem kciuka po całej klawiaturze, jak robi to Eddie Duchin.

Wypatrzyłem wolny stolik i usiadłem, opierając się o miętko wykładaną ścianę. Widziałem coraz lepiej, dostrzegałem nawet śpiewaka w rogu sali. Miał rude falujące włosy; chyba zrobił sobie hennę.

Dziewczyna przy stoliku obok też była ruda. Czesła się z przedziałkiem pośrodku, a włosy ścigała do tyłu tak mocno, jakby ich nienawdziła. Miała wielkie, ciemne, wygłodniałe oczy i nieregularne rysy twarzy. Na twarzy i bez makijażu uszminowane usta błyszczały jaskrawo jak neon. Jej płaszcz był za szeroki w ramionach i miał za duże klapy. Pod spodem miała obcisły pomarańczowy golf, a w przekrzywionym do tyłu kapeluszu *à la* Robił Hood tkwiło czarno-pomarańczowe piórko. Uśmiechnęła się do mnie. Zęby miała małe i ostre jak pirania, odwzajemniłem uśmiechu.

Dopiła to, co miała w szklance, i zastukała nią o blat stolika. Jak spod ziemi wyrósł przede mną kelner w eleganckim smokingu.

- Szkocką z bąbelkami - warknęła dziewczyna. Głos miała twardy, gardłowy, ale pod wpływem alkoholu lekko bełkotała.

Kelner ledwo raczył poruszyć brodą. Zerknął na nią i znów przeniósł wzrok na mnie.

- Bacardi z syropem granatowym - zamówiłem.

Odszedł.

- Zemdli cię od tego, przystojniaczku - powiedziała.

Nie spojrzałem na nią.

- Więc nie chcesz się zabawić - rzuciła od niechcienia.

Zapaliłem papierosa i wydmuchałem kółko. Uleciało w szkarłatną poświatę.

- To się wypchaj - mruknęła. - Na Hollywood Boulevard mogłabym poderwać z tuzin takich goryli jak ty. Hollywood Boulevard, Chryste! Tłum pożał się Boże graczy za dziesięć centów i rybiogębych blondynów na kacu.

- A kto tu mówił o Hollywood Boulevard? - spytałem.

- Ty. Tylko bubek z Hollywood Boulevard nie odszczeknąłby dziewczynie, która go obraziła.

Kobieta i mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku obrócili głowy. Facet posłał mi współczujący uśmiech.

- To się odnosi i do ciebie - burknęła rudowłosa.

- Jeszcze mnie nie obraziłaś - odparł.

- Ale mnie korci, ty bubku.

Nadszedł kelner z drinkami. Mnie obsłużył pierwszego.

- Zdaje się, że dawno nie obsługiwałaś dam - zauważyła głośno dziewczyna.

Podał jej szkocką z wodą sodową.

- Bardzo szanowną panią przepraszam - powiedział lodowato.

- Nie ma sprawy - odparła. - Wpadnij kiedyś do mnie, to ci zrobię za friko manicure, o ile tylko zdołam skądś pożyczyć motykę. A za to płaci mój chłopak.

Kelner spojrzał na mnie. Wzruszyłem ramionami i zapłaciłem. Wydał resztę, przyjął napiwek i pomeandrował między stolikami.

Dziewczyna wzięła swoją szklaneczkę, przysiadła się do mnie i podparła pod brodę.

- Patrzcie, patrzcie! - powiedziała. - Jaki hojny! Nie wiedziałam, że tacy się gdzieś jeszcze uchowali. Jak ci się podobam?

- Właśnie się zastanawiam - odrzekłem. - Mów ciszej, bo nas wyrzucą.

- Wątpię. Chyba, że rozwalę tu parę luster. Poza tym, z tutejszym szefem jestem o tak. - Podniosła dwa złączone palce. - To znaczy byłabym, gdybym mogła go spotkać. - Roześmiała się blaszanym śmiechem i upiła łyk szkockiej. - Widziałam cię już gdzieś?

- Chyba nie.

- A ty? Widziałeś mnie?

- W setkach miejsc.

- Tak to jest. Dziewczyny zatraciły indywidualność.

- Nie znajdą jej na dnie butelki.

- Nie zalewaj. Mogłabym wymienić ci od groma ludzi z pierwszych stron gazet, którzy chodzą spać z butelką w każdej ręce, i którzy muszą się szprycować, żeby nie wstać rano z wrzaskiem.

- Mówisz o tych nafciarzach z filmu?

- A tak. Pracuję u faceta, co ich szprycuje. Dziesięć baksów za szprycę. Czasami dwadzieścia pięć albo pięćdziesiąt.

- Niezła fucha - skonstatowałem.

- O ile tylko klientów nie ubędzie. Myślisz, że nie ubędzie?

- Jak go stąd wyrzucą, zawsze może pojechać do Palm Springs.

- Kto wyrzuci kogo? I skąd? - spytała.

- Nie wiem. A o czym mówiliśmy?

Była ruda. Niezbyt ładna, ale pod golfem miała co trzeba. No i pracowała dla faceta ze szprycą. Zwilżyłem wargi.

W progu stanął jakiś potężny mężczyzna. Czekał, aż oczy przywykną do półmroku. Kiedy przywykły, zaczął niespiesznie lustrować bar. Wreszcie przywędrował wzrokiem do mojego stolika. Pochylił się i ruszył w naszą stronę.

- O! O! Idzie silnoręki! - zawołała rudowłosa. - Dasz mu radę?

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnęła się do mnie szyderczo i silnymi, białymi palcami potarła policzek. Gość przy pianinie wziął kilka akordów i jął płacziwie zawodzić, że chyba *Wciąż możemy marzyć, prawda?*

Goryłowaty wielkolud stanął po drugiej stronie stolika i oparł ręce o krzesło. Z trudem oderwał wzrok od rudej i uśmiechnął się do mnie. To na nią patrzył od drzwi. To do niej tu przyszedł. Ale teraz spoglądał już tylko na mnie. Włosy miał ciemne i gładko zaczesane, oczy stalowe, zimne i błyszczące, brwi chyba pociągnięte ołówkiem, ładne, aktorskie usta i złamany, ale niezłe poskładany nos. Mówił, ledwo poruszając wargami.

- Od jakiegoś czasu chyba cię tu nie widziałem. A może mam kiepską pamięć?

- Nie mam pojęcia - odrzekłem. - Zależy, co chcesz sobie przypomnieć.

- Twoje nazwisko, lalul.

- To przestań się wysilać. Widzimy się pierwszy raz.

- Wyjąłem z butonierki metalowy znaczek i rzuciłem go na blat. - To jest mój bilet od marszałka polnego na bramce. - Z portfela wyjąłem wizytówkę i też rzuciłem ją na stolik. - Tu masz moje nazwisko, wiek, wzrost, wagę, znaki szczególne i listę odsiadek. Mam sprawę do Conrieda.

Metalową blaszkę olał, ale wizytówkę przeczytał dwa razy, z wierzchu i na odwrocie, a potem znowu z wierzchu. Później oparł się łokciem o krzesło i spojrzał na mnie z leniwym uśmiechem. Na rudą nie patrzył, nawet na nią nie zerknął. Potarł krawędzią wizytówki o blat. Zapiszczała jak maleńka myszka. Rudowłosa gapiła się w sufit udając, że ziewa.

- Więc jesteś jednym z tych facetów... - powiedział oschle. - Tak mi przykro. Pan Conried musiał wyjechać na północ, w interesach, porannym samolotem.

- W takim razie dziś po południu widziałam jego sobowtóra - wtrąciła ruda. - W szarym kabriolecie marki Cord, na rogu Bulwaru Zachodzącego Słońca i Vine.

Nawet teraz na nią nie spojrzał. Tylko uśmiechnął się leciutko.

- Pan Conried nie ma szarego kabrioletu marki Cord.

- Nie daj się robić w konia. - To było do mnie.

- Conried jest na górze i kręci teraz kołem rulety.

I znów nie zwrócił na nią uwagi. To, że na nią nie patrzył, było bardziej jednoznaczne niż policzek. Zauważyłem, że lekko zbladła. Bładła powoli, stopniowo, i blada już pozostała.

- Jak go nie ma, to go nie ma - powiedziałem. - Dzięki, że mnie wysłuchałeś. Może innym razem.

- Ależ naturalnie. Tylko, że nie potrzebujemy tu prywatnych detektywów. Tak mi przykro.

- Jak jeszcze raz powtórzysz, że ci przykro, to będę wrzeszczeć - ostrzegła go rudowłosa. - Chcesz się przekonać?

Czarny goryl schował moją wizytówkę do zewnętrznej kieszeni marynarki. Odepchnął krzesło i wstał.

- Wiesz, jak jest - rzucił. - Tak mi...

Ruda zachichotała i chlusnęła mu szkocką w twarz.

Rozdrażniony, cofnął się o krok i wyjął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę. Kręcąc głową, szybko otarł twarz. Kiedy opuścił chustkę, na jego koszuli, tuż pod czarną perłą, która zdobiła spinę do kołnierzyka, zobaczyłem dużą moką plamę. Sam kołnierzyk nadawał się do wyrzucenia.

- Tak mi przykro - powiedziała ruda. - Wzięłam cię za spluwaczkę.

Opuścił rękę i błysnął złowrogo zębami.

- Wyprowadź ją stąd - wymruczał. - I to migiem.

Odwrócił się na pięcie i trzymając chusteczkę przy ustach, szybko poma-newrował między stolikami w stronę wyjścia. Podeszło dwóch wyfraczonych kelnerów. Stali i patrzyli na nas. Zresztą wszyscy już na nas patrzyli.

- Koniec pierwszej rundy - orzekła rudowłosa. - Walka niezbyt ciekawa. Obaj bokserzy byli zbyt ostrożni.

- Za Boga nie chciałbym towarzyszyć ci przy rulecie - mruknąłem.

Głowa jej drgnęła. Uderzyła mnie nienaturalna bladość jej twarzy, spotęgowana tym dziwnym szkarłatnym światłem. Zbladły jej nawet wyszminekowane wargi. Podniosła rękę do ust. Tak jakoś sztywno, drapieźnie. Zakaszła sucho jak gruźlik i chwyciła moją szklankę. Wypiła do dna, długimi, bulgoczącymi łykami. Wypiła i zaczęła się trząść. Sięgnęła po torebkę i zrzuciła ją niechcący ze stolika. Torebka otworzyła się i wypadły z niej jakieś drobiazgi. Pod moim krzesłem wylądowała pozłacana papierośnica. Żeby ją podnieść, musiałem wstać i odsunąć krzesło. Tuż za mną sterczał jeden z kelnerów.

- Czy mogę pomóc? - spytał uprzejmie.

Byłem jeszcze pochylony, kiedy szklanka, z której piła ruda, stoczyła się ze stołu i trzasnęła o podłogę tuż przy mojej dłoni. Ująłem papierośnicę, obejrzałem ją odruchowo i na wieczku zobaczyłem ręcznie barwioną fotografię grubokościstego, ciemnowłosego mężczyzny. Włożyłem papierośnicę do torebki, wziąłem rudą pod ramię, a ten uprzejmy kelner wziął ją pod drugie. Patrzyła na nas nic nie widzącym wzrokiem i kiwała na boki głową, jakby próbowała rozruszać zdrętwiałą szyję.

- Mamusi zaraz urwie się film - wychrypiała i ruszyliśmy do wyjścia.

Stawiała nogi niczym oszalą paralityczka i przenosiła ciężar ciała raz na jedną, raz na drugą stronę, jakby chciała, byśmy stracili równowagę. Kelner cały czas kłął cichym, monotonnym szeptem. Ze szkarłatnego baru wyszliśmy do jasno oświetlonego foyer.

- Do toalety dla pań - wykrztusił z wysiłkiem kelner, wskazując brodą drzwi, które wyglądały jak wrota do Taj Mahal. - Jest tam taki czarny siłacz. On sobie z nią poradzi.

- Chromolę toaletę dla pań - mruknęła ze wstrętem ruda. - I puść mnie, panie starszy. Za transport wystarczy mi mój chłopak.

- To nie jest pani chłopak, proszę pani. Ten pan nawet pani nie zna.

- Spływaj, makaroniarzu. Albo jesteś za grzeczny, albo niewystarczająco grzeczny. Spadaj, nim

przestanę być kulturalna i ci przyłożę.

- Dobra - rzuciłem do kelnera. - Wyprowadzę ją, żeby się przewietrzyła. Przyjechała tu sama?

- Nie widzę powodów, dla których miałyby być inaczej - odrzekł i puścił jej ramię.

Pucołowaty szef sali zszedł do połowy chromowanego trapu i spoglądał groźnie z góry. W szatni było spokojnie i nudno jak na początku czwartej rundy trzecioligowego meczu.

Wypchnąłem moją nową przyjaciółkę za drzwi i poprowadziłem ją pod arkadami. Czułem, jak w zimnym, wilgotnym powietrzu zaczyna stopniowo odzyskiwać władzę w kończynach.

- Jesteś miłym facetem - powiedziała bezbarwnym głosem. - Rozegrałam to jak cajmer o północy. Miły gość z ciebie, przystojniaczku. Nie sądziłam, że wyjdę stamtąd żywa.

- Dlaczego?

- Miałam pomysł, jak zarobić trochę grosza. Zły pomysł. Nie ma o czym gadać. Niech spoczywa w pokoju razem z innymi złymi pomysłami, jakie leży mi się we łbie przez całe życie. Podrzucisz mnie? Przyjechałam taksówką.

- Jasne. Powiesz mi, jak się nazywasz?

- Helena Matson - odrzekła.

Nie, nie trzepnęło mną, teraz już nie. Wpadłem na to dawno temu.

Kiedy mijaliśmy parkujące samochody, wciąż się na mnie wspierała. Podeszliśmy do mojego, otworzyłem drzwi i przytrzymałem je, żeby wsiadła. Opadła ciężko na siedzenie i wcisnęła się w róg.

Zatrzęsnałem drzwi i znów je otworzyłem.

- Powiesz mi coś jeszcze? - spytałem. - Kim jest ten facet na papierośnicy w twojej torebce? Wydaje mi się, że skądś go znam.

Otworzyła oczy i z twarzą wtuloną w zagłówek szepnęła:

- Stara, zużyta miłość. To...

Wytrzeszczyła oczy, otworzyła gwałtownie usta, z tyłu dobiegł mnie ledwo słyszalny szelest, coś twardego wbiło mi się w nery, a przytłumiony głos powiedział:

- Spokojnie, koleś. To napad.

I wtedy tuż przy moim uchu wypaliło okrętowe działo, a moja głowa zmieniła się nagle w wielki różowy fajerwerk eksplodujący wysoko na niebie. Rozerwany na strzępy, stopniowo gasnący, potem



zupełnie już zgasły, opadał wolno do falującego morza.

A potem wchłonęła mnie aksamitna ciemność.

## *Z trupem w łóżku*

Śmierdziałem dżinem. Nie, nie zalatywało ode mnie jak po kilku drinkach - cuchnąłem tak, jakby ktoś wypełnił Pacyfik czystym dżinem i jakbym się w tym dżinie wykąpał, nie zdejmując ubrania. Miałem go we włosach, na brwiach, na twarzy i na koszuli pod brodą. Byłem bez płaszcza, leżałem jak kłoda na czyimś dywanie i wpatrywałem się w fotografię nad otynkowanym kominkiem. Ramkę miała z drewna bogato prążkowanego słojami, a ktoś, kto robił zdjęcie, chciał je chyba zrobić artystycznie, bo zaakcentował światłem pociągłą i smutną twarz. Ale podświetlenie dało tylko to, że twarz była taka, jaka była: pociągła, smutna i jakby spłaszczona, a jasne włosy można by wziąć za grubą skorupę farby na wysuszonej czaszce. W rogu widniał jakiś napis, ale nie mogłem go stąd odczytać.

Ścisnąłem skroń i przeszył mnie tak ostry ból, że poczułem go aż w podeszwach stóp. Jęknąłem, z czysto zawodowej dumy stłumiłem jęk, wydając z siebie nieokreślony pomnik, wolno i ostrożnie przetoczyłem się na bok i spojrzałem na nogi rozkładanego podwójnego łóżka. Jego druga połowa wciąż tkwiła w ścianie i widziałem tylko drewniany spód, ozdobiony kwiecistym deseniem. Kiedy się przetaczałem, z mojej piersi spadła na podłogę butelka po dżinie. Była przezroczysta, pusta. Pomyślałem sobie, że co jak co, ale w jednej butelce tyle dżinu być nie może.

Podkurczyłem kolana i tkwiłem chwilę na czworakach, węsząc niczym pies, który nie może już zreć, ale odejść od michy też nie chce. Poruszyłem głową. Bolała. Poruszyłem znowu. Wciąż bolała, więc wstałem i stwierdziłem, że butów też nie mam.

Pokój był ładny. Urządzony nie za tanio i nie za drogo, w sam raz: pospolite meble, pospolita lampa, pospolity, długowieczny dywan. Na łóżku leżała dziewczyna w jedwabnych beżowych pończochach. Ujrzałem głębokie zadrapania wypełnione zakrzepłą krwią i gruby, ciasno zwinięty ręcznik kąpielowy na jej brzuchu. Oczy miała otwarte, rude włosy uczesane z przedziałkiem i ściągnięte do tyłu tak mocno, jakby ich nienawidziła. Ale teraz było jej wszystko jedno.

Bo nie żyła.

Nad lewą piersią kawałek ciała, wielkości męskiej dłoni, był szerniały i nadpalony. W ranie pośrodku zebrał się naporstek czerwonej krwi, która spływała też po boku trupa, ale zdążyła już zakrzepnąć.

Na tapczaniku leżało ubranie, głównie jej, ale był tam i mój płaszcz. Na podłodze stały buty, jej i moje. Ostrożnie, na palcach, jakbym stąpał po kruchym lodzie, podszedłem do tapczanu, wziąłem płaszcz i obmacałem kieszenie. Znalazłem wszystko, co - o ile dobrze pamiętałem - do nich włożyłem. Kabura, którą wciąż miałem pod pachą, była oczywiście pusta. Nałożyłem buty i płaszcz, poprawiłem kaburę, stanąłem przy łóżku i uniosłem gruby ręcznik. Wypadł z niego rewolwer - mój. Otarłem zakrwawioną lufę, powąchałem ją bez żadnego powodu i spokojnie wsunąłem broń pod pachę.

Na korytarzu usłyszałem odgłos ciężkich kroków. Licznych kroków. Zatrzymały się przy drzwiach. Doszły mnie przyciszone głosy, potem ktoś zapukał, głośno, niecierpliwie załomotał. Spojrzałem na drzwi zastanawiając się, jak długo będą czekać, nim naciśną klamkę. A jeśli drzwi są nie zamknięte? A jeżeli są zamknięte, jak długo potrwa sprowadzenie na górę portiera z zapasowym kluczem - o ile portiera tam jeszcze nie ma. Zanim doszedłem do jakichś wniosków, ktoś naciśnął klamkę. Nie ustąpiła.

To było tak zabawne, że omal się nie roześmiałem.

Zajrzałem do łazienki. Na podłodze leżały dwa dywaniki kąpielowe, na krawędzi wanny starannie złożona mata, a nad wanną było zasuwane okno z chropowatego szkła. Zamknąłem cicho drzwi, stanąłem na wannie i pchnąłem do góry dolne skrzydło okna. Wystawiłem głowę i mniej więcej sześć pięter niżej zobaczyłem ciemną, wąską uliczkę wysadzaną drzewami. Okno wychodziło na wąziutką studnię utworzoną przez dwie ślepe ściany. Tuż obok, na mojej, to znaczy trzeciej ścianie, ujrzałem drugie okno. Wychyliłem się jeszcze bardziej i doszedłem do wniosku, że jeśli tylko spróbuję, na pewno go dosięgnę. Nie wiedziałem, czy jest zamknięte czy nie, czy to dobrze czy źle, i czy zdążę, zanim tamci poradzą sobie z drzwiami.

Z saloniku dochodził mnie coraz głośniejszy łomot. I czyjś ryk:

- Otwierać, bo wyważymy drzwi!

Tym się nie przejmowałem. To rutynowa zagrywka glin. Wiedziałem, że ich nie wyważą, bo mogli przecież zdobyć klucz, a bez siekiery rozwalenie takich drzwi to robota nader żmudna. Poza tym źle wpływa na stopy tudzież ramiona.

Zamknąłem dolne skrzydło okna, otworzyłem górne i wziąłem z półki ręcznik. Potem otworzyłem drzwi łazienki i utkwilem wzrok w twarzy z fotografii nad kominkiem. Nie, najpierw muszę odczytać ten napis. Podbiegłem i przy akompaniamencie wściekłych łomotów i krzyków szybko nań zerknąłem. Napis brzmiał tak: *Z najgłębszą miłością - Leland.*

Takie coś udupia doktora Austriana, udupia go na amen. Chwyciłem fotografię, wróciłem do łazienki, znów zamknąłem drzwi i wetknąłem zdjęcie w kłębowisko brudnych ręczników i bielizny pod szafą. Nim je znajdą, upłynie trochę czasu - jeśli są dobrymi gliniarzami. A jeżeli jesteśmy w Bay City, najpewniej nie znajdą go w ogóle. Właściwie to nie przychodził mi do głowy żaden konkretny powód, dla którego mielibyśmy wylądować akurat w Bay City. Może tylko taki, że Helena Matson i najprawdopodobniej tu mieszkała, i że powietrze za oknem pachniało jak morskie.

Z ręcznikiem w dłoni precyzyjnie się przez górne skrzydło i trzymając się framugi, spróbowałem dosięgnąć sąsiedniego okna. Sięgałem na tyle, że gdyby było otwarte, mógłbym je rozsunać. Było zamknięte. Wziąłem zamach nogą i rozbiłem szybę tuż nad zatrzaskiem. Huknęło tak, że musieli mnie słyszeć na milę. Z saloniku wciąż dobiegało stłumione, monotonne łomotanie.

Owiąłem ręcznikiem lewą dłoń, rozpląsałem się maksymalnie na ścianie, włożyłem rękę w wystrzępiony otwór i otworzyłem zatrzask. Wtedy przeskoczyłem na sąsiedni parapet i zamknąłem górne skrzydło okna, przez które uciekłem. Odciski palców miałem gdzieś. I tak nie mogłem im

udowodnić, że nie było mnie w mieszkaniu Heleny Matson. Nie, na to nie liczyłem. Chciałem jedynie mieć szansę, by dowieść, jakim cudem tam się znalazłem.

Spojrzałem na ulicę. Do samochodu wsiadał jakiś człowiek. Nawet nie spojrzał w górę. W mieszkaniu, do którego się włamywałem, nie zapaliło się ani jedno światło. Podniosłem skrzydło okna i wszedłem do środka.

W wannie było pełno szkła. Stałem na podłodze, zebrałem szkło, zawinałem w mój ręcznik i schowałem. Innym ręcznikiem przetarłem parapet i brzeg wanny w miejscu, gdzie stałem. Skończyłem, wyjąłem rewolwer i otworzyłem drzwi łazienki.

To mieszkanie było większe. W pomieszczeniu, do którego wszedłem, stały dwa łóżka przykryte ciemnoróżowymi kapami. Dwa starannie zasłane i... puste łóżka. Za sypialnią znajdował się salon. Wszystkie okna były zamknięte, w powietrzu pachniało kurzem. Zapaliłem stojącą lampę i przeciągnąłem palcem po ramieniu fotela - kurzu, było nawet sporo. Przy fotelu stało radio, dalej mała półka na książki zbudowana jak murarski kozioł do noszenia cegieł, wielka półka pełna powieściidel w kolorowych okładkach, wysoka szyfonierka z ciemnego drewna z syfonem i karafką na blacie. W karafce była szkocka, co mnie ucieszyło. Wypiłem malucha. Głowa rozboleła mnie jeszcze bardziej, ale ogólnie poczułem się lepiej.

Nie gasząc światła, wróciłem do sypialni, żeby pomyszkować w komodzie i w szafach. W jednej szafie znalazłem męskie ubrania. Były szyte na miarę i jeśli wierzyć metkom krawca, należały do niejakiego pana George'a Talbota. Ubrania George'a były na mnie trochę za małe. Zajrzałem do komody i znalazłem w niej piżamę. Piżama nadawała się do moich celów doskonale. Z szafy wziąłem szlafrok i papucie, po czym rozebrałem się do naga.

Kiedy wyszedłem spod prysznic, dżinem prawie już ode mnie nie zalatywało. Nigdzie nie słyszałem hałasu, wyciągnąłem więc logiczny wniosek, że weszli już do mieszkania Heleny Matson i biegają tam teraz z kredą i sznurkiem. Nałożyłem piżamę, papucie i szlafrok George'a, skropiłem włosy jego tonikiem i przyczesalem się jego grzebieniem. Miałem tylko nadzieję, że George dobrze się z żoną bawi, i że nie spieszo im do domu.

Wróciłem do saloniku, gdzie zwilżyłem gardło miarką szkockiej i gdzie poczęstowałem się papierosem. Papierosem George'a, oczywiście. Zapaliwszy, przekręciłem zatrask w drzwiach. Na korytarzu, tuż obok, ktoś zakaszał. Otworzyłem drzwi, oparłem się o futrynę i wyjrzałem. Przy ścianie naprzeciwko stał mundurowy krępy, bystrooki i wścibski blondyn. Spodnie miał zaprasowane w kant ostry jak brzytwa, wyglądał czysto, porządnie i kompetentnie.

Ziewnąłem i spytałem:

- Co się dzieje, panie władzo?

Obrzucił mnie czujnym spojrzeniem. Oczy miał kasztanowo-złotawe, a taki kolor rzadko idzie w parze z jasnymi włosami.

- Małe zamieszanie w mieszkaniu obok. Słyszał pan coś? - spytał z lekkim sarkazmem w głosie.

- Marchewka narozrabiała? Hau, hau! Polowanie na grubego zwierza jak co dzień? Zalała się?

Gliniarz nie odrywał ode mnie badawczych oczu. Nagle zawołał:

- Hej, Al!

Z otwartych drzwi wyszedł na korytarz jakiś facet. Miał ponad sześć stóp wzrostu, proste, czarne włosy, głęboko osadzone oczy bez wyrazu i ważył przynajmniej z dwieście funtów. To był Al De Spain, którego dziś wieczorem spotkałem w komendzie policji w Bay City. Niespiesznie ruszył w naszą stronę.

- Facet mieszka po sąsiedzku - przedstawił mnie mundurowy.

De Spain podszedł bliżej i spojrzał mi w twarz. Jego oczy mówiły tyle, co dwa kawałki czarnej dachówki.

- Nazwisko? - spytał niemal łagodnym głosem.

- George Talbot - odparłem buńczucznie.

- Słyszał pan jakieś hałasy? To znaczy, zanim przyjechaliśmy.

- A tak, była tam jakaś burda. Gdzieś koło północy. - Wskazałem kciukiem mieszkanie nieboszczki.

- W tym lokalu to nic nowego.

- Ach, tak? Zna pan tę kobietę? - Nie. I chyba nie chcę jej poznać.

- Nie będzie pan musiał - rzekł De Spain. - Została zamordowana.

Przyłożył mi do piersi swoją wielką, twardą łapę i wepchnął mnie łagodnie do mieszkania. Nie opuszczając ręki, zerknął szybko na kieszenie mojego szlafroka i znów spojrzał mi w twarz. Kiedy znaleźliśmy się jakieś osiem stóp od progu, rzucił przez ramię:

- Wejdz i zamknij drzwi, Krótki.

Mundurowy wszedł, zamknął drzwi i błysnął czujnymi oczyma.

- Niezły numer - stwierdził obojętnie De Spain. - Krótki, weź go na muszkę.

Krótki szarpnął zatrząskiem czarnej kabury przy pasku i błyskawicznym ruchem wydobyl z niej rewolwer. Czubkiem języka oblizał sobie wargi.

- O kurcze - szepnął. - O kurcze... - Otworzył futerał i zaczął wyciągać obrączki. - Skąd wiesz, Al?

- Co skąd wiem? - spytał De Spain i wciąż patrząc mi w oczy, zagadnął cicho: - Co pan zamierzał zrobić? Zejść na dół po gazetę?

- Tak jest - skonstatował Krótki - jasne, to on ją skasował. Dostał się tu przez okno w łazience i nałożył ciuchy faceta, który tu mieszka. Właściciele musieli gdzieś wyjechać, bo spójrz tylko na ten kurz. I powietrze jest stęchłe.

- Krótki ma umysł naukowca - objaśnił mnie De Spain. - Ale któregoś dnia może się pomylić. Więc lepiej nie pozwól mu się zastrzelić.

- Jak z niego taki bystry chojrak, to dlaczego chodzi w mundurze? - spytałem.

Mundurowy spiekł raka.

- Poszukaj jego ubrania, Krótki - rozkazał De Spain. - I broni. Tylko raz dwa. Jak zrobimy to migiem, facet jest cały nasz.

- Ale przecież nawet nie znasz szczegółów sprawy - zauważył Krótki.

- A co mam do stracenia?

- Ale ja mam. Ten mundur.

- Zaryzykuj, chłopie. Tam obok siedzi ten bubek Reed. A Reed nie złapie nawet ćmy w pudełko od butów.

Krótki wytruchtał do sypialni. De Spain zabrał rękę z mojej piersi, opuścił ją i obaj zastygliśmy w bezruchu.

- Nic nie mów - rzucił, przeciągając zgłoski. - Niech zgadnę.

Słyszeliśmy, jak Krótki otwiera drzwi i węszy. Po chwili zaskamlał jak terier, który znalazł szczurzą norę. Wrócił do salonu z moim rewolwerem w prawej i z moim portfelem w lewej ręce. Rewolwer owinał chusteczką do nosa i trzymał go za muszkę na lufie.

- Z tego gnata strzelano - stwierdził. - A ten facet nie nazywa się Talbot.

De Spain nie obrócił głowy, wyraz jego twarzy też nie uległ zmianie. Uśmiechnął się do mnie leciutko samymi kącikami szerokich, w sumie nawet okrutnych ust.

- Co ty powiesz - mruknął. - Co ty powiesz... - Pchnął mnie tym swoim łapskiem, twardym jak klucz francuski. - Ubieraj się, kochasiu. I szybko zawiąż krawat. Musimy odwiedzić kilka miejsc...

## *Oddają mi spluwę*

Wyszliśmy z mieszkania i ruszyliśmy korytarzem. Z otwartych drzwi saloniku Heleny Matson wciąż padało światło. Przed drzwiami stało dwóch facetów z noszami. Palili papierosy. Z saloniku dobiegały nas podniesione głosy. Skręciliśmy i zaczęliśmy schodzić na dół, pokonując piętro za piętrzem, aż wylądowaliśmy w holu wejściowym. Stała tam grupka wystraszonych ludzi: trzy kobiety w szlafrokach, łysy jegomość o zielonych oczach - wyglądał na miejscowego dziennikarza - dwoje innych kryło się z tyłu, w mroku. Przed drzwiami chodził tam i z powrotem drugi mundurowy. Chodził i cichutko pogwizdywał. Minęliśmy go i wyszliśmy na ulicę. Nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Na chodniku zebrał się tłumek gapiów.

- Dla naszego małego miasteczka to wielka noc - stwierdził De Spain.

Podeszliśmy do czarnego samochodu bez policyjnych oznakowań. De Spain usiadł za kierownicą i wskazał mi fotel obok. Krótki zajął miejsce z tyłu. Broń miał w kaburze, schował i ją już dawno, ale kabury nie zamknął, a rękę trzymał przy biodrze.

De Spain ruszył tak ostro, że wgniotło mnie w fotel. Najbliższy zakręt wzięliśmy na dwóch kołach i pognaliśmy na wschód. Kiedy skręcaliśmy, z tyłu, ledwie pół przecznicy za nami, zauważyłem duży, czarny wóz z pomarańczowymi reflektorami. Jechał bardzo szybko.

De Spain splunął przez okno i rzekł:

- To szef. Nawet na swój pogrzeb się spóźni. Ale jaja. Utarliśmy mu nosa, że hej!

- Jaja, pewnie - mruknął Krótki, który wyraźnie miał tego wszystkiego dosyć. - A teraz nas przez te jaja przewiesi. Miesiąc mamy z głowy, jak w banku.

- Jak przestaniesz kwękać, to może wrócisz do wydziału zabójstw - powiedział De Spain.

- Wolę mieć w co się ubrać i co zjeść.

De Spain pruć ostro przez dziesięć przecznic, potem trochę zwolnił.

- To nie jest droga do komendy - zauważył Krótki.

- Nie bądź dupkiem - mruknął De Spain.

Jechaliśmy teraz wolniutko i skręciliśmy w lewo, w cichą, ciemną uliczkę wysadzaną świerkami. Za małymi, schludnymi trawnikami stały tu małe, schludne domki. De Spain zjechał do krawężnika, łagodnie zahamował i wyłączył silnik. Objął ramieniem mój fotel i spojrzał na krępego "bystrzaka" w mundurze.

- Myślisz, że ten facet ją kropnął, Krótki? - spytał.

- Z jego broni niedawno strzelano.

- Wyciągnij z kieszeni ten swój reflektor i obejrzyj sobie tył jego głowy.

Krótki sapnął, wiercił się chwilę na siedzeniu, potem usłyszałem metaliczny "klik" i moją głowę zaalała struga białego, jaskrawego światła z wielkiej latarki. Dysząc mi w ucho, dotknął bolącego miejsca na potylicy. Wrzasnąłem. Światło zgasło i znów pograżyliśmy się w mroku.

- Chyba ktoś mu przyłożył - orzekł Krótki.

- Tej rudej też - dodał De Spain. - Niewiele było widać, ale ktoś ją zrobił na kicę. Dał jej w łeb, potem ściągnął z niej ubranie, podrapał ją, żeby krwawiło, i żeby wyglądało wiesz jak, a dopiero potem ją zabił. Owinął spluwę ręcznikiem i strzelił. Nikt nie słyszał huk. Krótki, kto nas o tym zawiadomił?

- A skąd mam do cholery wiedzieć? Jakiś facet Zadzwoił na dwie, trzy minuty przed twoim przyjściem, kiedy Reed ciągle szukał fotografa. Telefonistka z centrali mówiła, że gość miał gruby głos. Tyle.

- Dobra. Jakbyś się stamtąd na jego miejscu wydostał, Krótki?

- Wyszedłbym. No bo niby dlaczego nie? Ty - warknął do mnie - dlaczego po prostu nie wyszedłeś?

- Chyba muszę mieć jakieś sekreciki, nie?

- Nie przełaziłbyś po gzymsie, Krótki, co? - spytał De Spain bezbarwnym głosem. - Nie wybijałbyś okna w sąsiednim mieszkaniu i nie podszywałbyś się pod faceta, który tam mieszka. Tak, Krótki? I nie dzwoniłbyś na policję, nie mówił im, że jak się pospieszą, to złapią mordercę. Dobrze gadam, stary?

- Kurde - warknął mundurowy. - To on do nas dzwonił? No jasne, że nic takiego bym nie zrobił.

- Morderca też nie - oświadczył De Spain. - Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, z wyjątkiem ostatniej. Zadzwoił.

- Ci zboczeńcy dziwnie się czasami zachowują - zauważył Krótki. - Mógł być na przykład z kumplem. Kumpel chciał go zrobić, dał mu w łeb, a potem faceta przypuconął.

De Spain roześmiał się chrapliwie.

- Zboczeniec, jak pragnę zdrowia! - Dźgnął mnie w żebra paluchem twardym jak lufa rewolweru. - Spójrz tylko. Siedzimy tu jak dwa dupki żołądne, ryzykujemy, że wywalą nas z roboty, to znaczy jednego z nas, bo tylko jeden z nas ma robotę, i wyklócamy się jak przekupy, podczas gdy ty znasz odpowiedzi na wszystkie pytania i nie puszczasz pary z ust. Nie znamy nawet nazwiska tej rudej.

- Poderwałem ją w barze "Conrieda" - odrzekłem. - Nie, to ona mnie poderwała.



- I nie znasz jej nazwiska? Choćby imienia?

- Nie. Ostro przygrzała. Wyprowadziłem ją na świeże powietrze i poprosiła mnie, żebym ją stamtąd zabrał. Kiedy pakowałem ją do samochodu, ktoś mi przyłożył w łeb. Ocknąłem się na podłodze w jej mieszkaniu, a dziewczyna już nie żyła.

- Co robiłeś w barze "Conrieda"? - spytał De Spain.

- Manicure. A co, do cholery, robi się w barze? Ta ruda była podcięta, chyba trochę wystraszona i chlusnęła wodą w twarz szefowi sali. Było mi jej trochę żal.

- Ja też zawsze rudym współczuję - wyznał De Spain.

- Ten facet, co ci przyłożył, to chyba jakiś słoniowaty wielkolud. Wniósł cię na górę?

- Zaprawili cię kiedyś kichą? - spytałem.

- Nie - odrzekł De Spain. - A ciebie, Krótki?

Krótki odpowiedział, że jego też nigdy kichą nie zaprawili. Odpowiedział głosem niezbyt przyjemnym.

- Skutek jest taki, jakbyś się tego wlał - tłumaczyłem.

- Musiałem ocknąć się w samochodzie, a facet wyciągnął spluwę, żeby mnie uspokoić. Zaprowadził nas razem do jej mieszkania. Niewykluczone, że ruda go znała. A kiedy już tam dotarliśmy, znów mi przyłożył, żebym nie pamiętał nic, co zaszło między pierwszą a drugą kichą.

- Słyszałem o tym - powiedział De Spain. - Ale jakoś nigdy nie mogłem w to uwierzyć.

- To prawda. To musi być prawda. Bo nic nie pamiętam, a facet nie mógł mnie wnieść na górę sam.

- Ja bym cię wniósł - wtrącił De Spain. - Nosilem już cięższych niż ty.

- No dobra, wniósł mnie. To co teraz robimy? - spytałem.

- Nie kapuję, dlaczego aż tak to sobie pokomplikował - przyznał Krótki.

- Zrobić kogoś na kichę to komplikacja? - rzucił De Spain. - Daj mi jego spluwę i portfel.

Krótki zawahał się, ale wykonał polecenie. De Spain wetknął nos w lufę, po czym wsunął niedbale broń do kieszeni. Tej od mojej strony. Otworzył portfel, podniósł go do światła sączącego się z deski rozdzielczej i odłożył na bok. Uruchomił silnik, ruszył, kawałek dalej zawrócił, śmigaliśmy po Arguello Boulevard, skręciliśmy na wschód i stanęliśmy przed sklepem z wodą, nad którym mrugał czerwony neon. Drzwi sklepu były otwarte na oścież, nawet o tej porze.

- Biegnij i zadzwoń stamtąd do centrali, Krótki - rzucił przez ramię. - Powiedz sierżantowi, że złapaliśmy ślad i że jedziemy zdjąć podejrzanego o morderstwo przy Brayton Avenue. I niech powie szefowi, że został bez koszuli.

Krótki wysiadł, zatrzasnął tylne drzwi, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i szybkim krokiem ruszył w stronę sklepu.

De Spain wcisnął gaz do dechy i na pierwszym skrzyżowaniu grzaliśmy już czterdzieści mil na godzinę. Roześmiał się głębokim, zduszonym śmiechem. Minęliśmy skrzyżowanie i gnaliśmy już pięćdziesiątką, a potem zaczął meandrować jakimiś uliczkami, aż w końcu wyhamował pod drzewem naprzeciwko szkoły.

Kiedy sięgnął do wajchy hamulca ręcznego, zwinąłem mój rewolwer. Roześmiał się oschle i splunął za okno.

- I o to chodziło - powiedział. - Dlatego cię tu przywiozłem. Rozmawiałem z Fiołkiem M'Gee. Zadzwonił do mnie ten dzieciuch z Los Angeles, ten reporter. Znaleźli Matsona. Teraz maglują właściciela domu.

Odsunąłem się w kąt siedzenia. Rewolwer trzymałem luźno między kolanami.

- Jesteśmy poza granicami miasta, panie władzo - zauważyłem. - Co powiedział M'Gee?

- Że namierzył ci Matsona, ale nie wie, czy się z nim skontaktowałeś czy nie. Ten właściciel domu, zapomniałem, jak się nazywa, usiłował pozbyć się zwłok w jakiejś ciemnej alejce i nakryło go dwóch naszych. Fiołek powiedział, że jeśli z tym Matsonem gadałeś i jeśli wiesz, czego chciał, to siedzisz po uszy w kłopotach i możesz się obudzić koło jakiegoś sztywniaka.

Pokręciłem głową.

- Nie gadałem z nim.

Czułem, jak De Spain wpatruje się we mnie spod wyrazistych brwi.

- Ale w kłopoty się wpakowałeś.

Lewą ręką wyjąłem z kieszeni papierosa i skorzystałem z zapalniczki w desce rozdzielczej. W prawej wciąż trzymałem rewolwer.

- Tak sobie myślę, że miałeś zamiar tu przyjechać - powiedziałem - że byłeś w drodze. Nawet nie wprowadzili cię w szczegóły tego morderstwa. I wywiozłeś więźnia poza granice miasta. No i jak teraz wyglądasz?

- Jak wiadro błota - odparł. - Chyba, że co innego dla siebie wycisnę.

- To wyglądasz tak samo jak ja. Chyba powinniśmy zrobić sztamę i rozgryźć te trzy morderstwa.

- Trzy?

- Trzy. Helena Matson, Harry Matson i żona doktora Austriana. To w sumie trzy.

- Pozbyłem się Krótkiego, bo Krótki to mały cykor - wyjaśnił cicho De Spain. - Szef lubi takich małych cykorów, a Krótki może zwalić winę na mnie. Gdzie zaczynamy?

- Możemy zacząć od znalezienia faceta nazwiskiem Greb. Greb ma laboratorium i myślę, że wypichcił lewy raport na temat powodów śmierci naszej pani Austrian. A jak złączą cię szukać, to co?

- Przejdę na pasmo Los Angeles - odrzekł. - Na tym nie będą szukali swojego człowieka.

Pochylił się i wcisnął starter.

Oddaj mi portfel, to schowam spluwę. Roześmiał się chrapliwie i oddał mi go.

## *Gębal*

Laborant mieszkał w podłej części miasta, na Dziewiątej Ulicy, w bezkształtnym bungalowie. Wielki, zakurzony krzak hortensji i kilka niedożywionych patyków zasadzonych wzdłuż ścieżki mówiło, że mieszka tu człowiek, który spędza życie, próbując zrobić coś z niczego.

Gdy zajeżdżaliśmy przed dom, De Spain zgasił światła i powiedział:

- Jak będziesz potrzebował pomocy, zagwiżdż. A jak nakryją cię gliny, spływaj na Dziesiątą. Objadę dookoła i na Dziesiątej wskoczysz. Ale chyba nikt od nas tu nie przyjdzie. Myślą teraz tylko o tej rudej z Brayton Avenue.

Popatrzyłem na spokojną uliczkę, przeszedłem na drugą stronę i w mglistym świetle księżyca ruszyłem do domu Greba. Frontowe drzwi wbudowano pod kątem prostym do ulicy w coś, co przypominało werandę albo przybudówkę, którą wzniesiono nieco później, jakby po namyśle. Nacisnąłem dzwonek i usłyszałem, jak dzwoni w głębi domu. Nikt nie otwierał. Nacisnąłem guzik jeszcze dwa razy i poruszyłem klamką. Drzwi były zamknięte.

Obszedłem ganek, a potem północną ścianę domu, kierując się w stronę małego garażu na podwórku. Na drzwiach garażu wisiała klódeczka, którą można było rozbić silniejszym oddechem. Pochyliłem się i zaświeciłem latarką w szparę między drzwiami a ziemią. Zobaczyłem koła samochodu. Wróciłem na ganek i tym razem zastukałem - jakbym młotem walił.

Frontowe okno zaskrzypiało i jego górne skrzydło uniosło się mniej więcej do połowy. Za szybą wisiała zasłona, a za nią panowała ciemność. Z ciemności popłynął gruby, ochrypły głos:

- Czego?
- Czy pan Greb?
- Tak.
- Chciałbym z panem porozmawiać. W ważnej sprawie.
- Muszę swoje odespać. Przyjdź pan jutro.

Głos nie brzmiał jak głos technika laboratoryjnego. Brzmiał jak głos faceta, który rozmawiał z Reelem przez telefon w kamienicy Tennyson Arms.

- Trudno. W takim razie wpadnę do pana do biura, panie Greb. Jaki to adres? Głos chwilę milczał.
- A idź do diabła - rzekł wreszcie. - Spadaj stąd, zanim wyjdę i ci przyłożę.
- Przecież tak nie można rozmawiać o interesach, proszę pana - stwierdziłem. - Skoro już pan

wstał, to może poświęci mi pan kilka minut.

- Ciszej, żonę mi obudzisz. Chora jest. Słuchaj, jak tam wyjdę, to...

- Dobrej nocy panu życzę, panie Greb.

W mglistym świetle księżyca wróciłem na ulicę. Stałem przy ciemnym samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie i powiedziałem:

- To robota dwóch facetów. U Greba siedzi jakiś bandzior. Po mojemu to człowiek, na którego wołają Gębal. Podśledzałem, że tak go nazywał przez telefon jeden gość z Los Angeles.

- O kurde. Ten zbirus, co załatwił Matsona, he? - De Spain przesunął się na fotel pasażera, wystawił głowę, splunął i omal nie trafił w hydrant stojący co najmniej osiem stóp dalej.

Nie skomentowałem tego.

- Jeśli ten Gębal to Moss Lorenz, to go poznam - mówił dalej. - Może uda nam się tam wejść. I może trafimy na jakiś świeży ślad.

- Jak ci gliniarze z radia - mruknąłem.

- Masz pietra?

- Ja? Pewnie, że mam. Samochód stoi w garażu, więc ta kanalia albo trzyma tam Greba i myśli, co z nim teraz zrobić, albo...

- Jeśli to Moss Lorenz, to nie myśli, bo nie ma czym - przerwał mi De Spain. - Ten facet to kompletny szajbus. Myśli tylko wtedy, kiedy trzyma w ręku spluwę i kiedy prowadzi wóz.

- I kiedy kasuje kogoś ołowianą rurą - dodałem. - Chciałem powiedzieć, że Greb mógł po prostu wyjść, nie wyjechać, tylko wyjść, a Gębal...

De Spain pochylał się, żeby spojrzeć na zegar w desce rozdzielczej.

- Po mojemu to on zwiął - powiedział. - O tej porze siedziałby już w chałupie. Dostał od kogoś cynk, że są kłopoty i że trzeba pryskać.

- Wchodzisz tam czy nie? - warknąłem. - Kto mógłby mu dać cynk?

- Ten, co go w to wpakował. Jeśli ktoś go w to wpakował.

De Spain otworzył drzwi, wysiadł i spojrzał na spokojną uliczkę. Rozpiął płaszcz i namacał broń w kaburze pod pachą.

- Może dam radę go podejść - mruknął. - Trzymaj łapy na wierzchu. Niech widzi, że nic w nich nie masz. To nasza jedyna szansa.

Przecieliśmy ulicę i weszliśmy na ganek. De Spain nacisnął dzwonek.

Zza na wpół otwartego okna przesłoniętego wystrzępionymi kotarami w kolorze zgniłej zieleni dobiegł nas ten sam burkliwy głos:

- Czego tam?

- Sie masz, Moss - zaczął De Spain.

- Hę?

- To ja, Al De Spain. Ja też w tym siedzę, Moss.

Zapadła cisza. Długa, mordercza cisza. Nagle gruby, chropowaty głos spytał:

- Kto jest z tobą?

- Kumpel z Los Angeles. On jest w porządku, Moss.

Znów cisza, a potem:

- Co jest grane, hę?

- Jesteś sam?

- Jeśli nie liczyć tej baby, to sam. Nic nie słyszy.

- A gdzie Greb?

- No właśnie, gdzie? Co jest grane, kapusiu, co? Gadaj! I to migiem!

De Spain odpowiedział z takim spokojem i opanowaniem, jakby siedział sobie w fotelu i słuchał radia.

- Pracujemy dla jednego szefa, Moss.

- Ucho od śledzia - warknął Gębal.

- W Los Angeles znaleźli nieżywego Matsona. Tajniacy skojarzyli go już z tą Austrian. Musimy natychmiast zadziałać, Moss. Szef dał nogę na północ, szuka sobie alibi, ale co nam z tego?

- Co ty za bałach mi tu wciskasz? - spytał głos, ale słysząc w nim było nutkę wątpliwości.

- To mi wygląda na śmierdzącą sprawę, Moss. Otwórz, pogadamy. Przecież widzisz, że jesteśmy czyści. Nic tu nie mamy.

- Zanim dojdę do drzwi, coś skołujecie - odrzekł Gębal.

- Taki z ciebie cykor? - szydził De Spain.

Zaszeleściły story, jakby je opuścił, górne skrzydło okna powędrowało na miejsce, a moja ręka do płaszcza.

- Nie bądź głupkiem - warknął cicho De Spain. - Bez tego faceta nic nie załatwimy. Musimy go mieć w jednym kawałku.

Z domu dobiegł cichy odgłos kroków. Trzasnął zamek, drzwi się otworzyły i w progu stanęła ciemna postać z wielkim coltem w ręku. Gębał. Miał dobrą ksywę. Jego ogromna, szeroka szczęka wystawała do przodu niczym zderzak starodawnej lokomotywy. Był wyższy i potężniej zbudowany niż De Spain - o wiele potężniej.

- Tylko szybko - burknął i zaczął się cofać do sieni.

Z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, z dłońmi odwróconymi na zewnątrz, De Spain zrobił lewą nogą szybki krok do przodu, a prawą kopnął Gębała w krocze. Tak po prostu, bez wahania, nie zważając na ten paskudny rewolwer.

Gębał wciąż jeszcze toczył wewnętrzną walkę, kiedy wyciągnęliśmy spluwy. Walczył z sobą, żeby utrzymać broń i nacisnąć spust. Walczył z bólem, który tłumiąc wszelkie odruchy, nakazywał mu rzucić wszystko, zgiąć się w pół i wyć. Przez ową wewnętrzną walkę zmarnował ułamek sekundy i ani nie nacisnął spustu, ani nie zawył, bo już nie zdążył. Zaatakowaliśmy razem. De Spain grzmotnął go w głowę, ja w prawy nadgarstek. Chciałem mu przylać w gębę - cholernie mnie fascynowała - ale nadgarstek był bliżej broni. Rewolwer upadł na podłogę, a za rewolwerem, niemal równie szybko, sam Gębał. Runął na nas, chwyciliśmy go, czując na twarzach jego gorący i cuchnący oddech, potem nogi załamały mu się w kolanach i wylądowaliśmy okrakiem na jego plecach.

De Spain stęknął, wstał i zamknął drzwi. Sapiąc z wysiłku, przetoczył półprzytomnego olbrzyma na brzuch, założył mu ręce na plecy i zatrzasnął obrączki.

Ruszyliśmy korytarzem. Z pokoju po lewej stronie sączyło się żółtawe światło. Świeciła się mała lampka przykryta gazetą. De Spain zdjął gazetę i wtedy ją zobaczyliśmy, na łóżku. Przynajmniej jej nie zamordował. Leżała w lichej piżamie, oczy miała szeroko otwarte, wytrzeszczone i na wpół oszalałe ze strachu. Usta zakleił jej samoprzylepną taśmą, nadgarstki, kostki u nóg i kolana też nią owinął, a w uszy wetknął grube zatyczki z waty. Zza dwucalowej taśmy na ustach wydobył się cichy, gulgoczący odgłos. De Spain pochylił nieco abażur lampki. Jej twarz była marmurkowata, jakby wynędzniała, włosy tlenione, z ciemnymi odrostami.

- Jestem z policji - powiedział De Spain. - Czy pani Greb?

Kobieta gwałtownie drgnęła i wybałuszyła błagalnie oczy.

Wyciągnąłem jej z uszu zatyczki.

- Spróbuj teraz.

- Czy pani Greb? - powtórzył.

Kiwnęła głową.

De Spain chwycił za koniec taśmy z boku jej ust. Strzeliła nieprzytomnie oczami, De Spain szarpnął i natychmiast zakrył jej usta dłonią. Stał pochylony, z taśmą w ręku - wielki, ciemnowłosy gliniarz z twarzą pokerzysty, który zdawał się mieć tyle nerwów co betoniarka.

- Obiecuje pani nie krzyczeć? - spytał.

Kobieta skinęła z wysiłkiem głową. Zabrał rękę.

- Gdzie jest Greb? - powtórzył po raz drugi. Uwolnił z taśmy jej kolana i nadgarstki. Przełknęła głośno ślinę, dłonią z czerwonymi paznokciami potarła czoło i pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie wrócił do domu.

- Co mówił ten goryl, jak tu przyszedł?

- Nic nie mówił - odrzekła głucho. - Zadzwoił dzwonek, otworzyłam drzwi, wszedł i mnie chwycił. Potem mnie związał i spytał, gdzie jest mąż. Powiedziałam, że nie wiem, wtedy on uderzył mnie kilka razy w twarz, ale potem chyba mi uwierzył. Spytał, dlaczego mąż nie wziął samochodu. Odpowiedziałam, że nigdy nie bierze, bo do pracy zawsze chodzi piechotą. A później usiadł w rogu i siedział. Ani drgnął. Cały czas siedział i milczał. Nawet nie palił.

- Telefonował gdzieś? - spytał De Spain.

- Nie.

- Czy widziała go pani przedtem?

- Nie.

- Proszę się ubrać. Resztę nocy musi pani spędzić u przyjaciół.

Popatrzyła na niego, usiadła wolno na łóżku i rozczochrała włosy. Nagle otworzyła usta i De Spain znów zakrył je dłonią.

- Cicho - warknął. - O ile wiemy, nic mu się nie stało. Ale chyba nie byłaby pani zaskoczona, gdyby coś mu się przytrafiło.

Kobieta odepchnęła jego rękę, wstała, podeszła do komody i wyjęła butelkę whisky. Otworzyła ją i pociągnęła z gwinta.

- Tak - powiedziała silnym, chrapliwym głosem. - A co by pan robił, gdyby za parę centów musiał pan włączyć w tyłek każdemu łapiduchowi, co? I gdyby tych centów i tak nie starczało. - Znów pociągnęła łyk.



- Może zamieniałbym próbki krwi... - mruknął De Spain.

Kobieta spojrzała na niego pustym wzrokiem. De Spain zerknął na mnie i wzruszył ramionami.

- A może dorabia na ćpunach - dodał. - Może handluje prochami. - Obrzucił pokój pogardliwym spojrzeniem. - Ale sądząc po tym, jak mieszka, to robi to chyba na cholernie małą skalę. Niech się pani ubiera.

Wyszliśmy z pokoju i zamknęliśmy drzwi. De Spain nachylił się nad Gębalem. Olbrzym leżał na boku, miał otwarte usta i monotonicznie pojękiwał. Częściowo odzyskał już przytomność, ale dalej nie wiedział, co się wokół niego dzieje. W słabym świetle żarówki w korytarzu, nadal pochylony De Spain spojrzał na kawałek samoprzylepnej taśmy, który wciąż trzymał w ręku. Nagle się roześmiał, przyłożył taśmę do ust Gębala i mocno ją przyklepał.

- Myślisz, że da radę iść? - spytał. - Cholernie bym nie chciał go targać.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Ty jesteś szefem, ja tylko pomagierem. Iść? Dokąd?

- Na wzgórze, gdzie jest spokojnie i gdzie ptaszki śpiewają - odrzekł ponuro.

Siedziałem na progu samochodu, trzymając między kolanami wielką latarkę z reflektorem w kształcie dzwonu. Nie świeciła najlepiej, ale wystarczająco, bym widział, co De Spain wyczynia z Gębalem. Tuż za nami, na zboczu przechodzącym niżej w głęboki kanion, był zadaszony zbiornik wody. Jakies dwie mile dalej, na szczycie wzgórza, stały dwa domy, oba ciemne; w ich zdobionych sztukaterią ścianach odbijało się światło księżyca. Było dość chłodno, ale powietrze było czyste, a gwiazdy jak skrawki wypolerowanego chromu. Mglista poświata nad Bay City zdawała się wisieć daleko stąd, jakby w innym kraju, choć dotarliśmy tu po dziesięciu minutach szybkiej jazdy.

De Spain zdjął płaszcz. Zawinął rękawy koszuli; w słabym świetle jego nadgarstki i silne gołe ramiona wyglądały potężnie. Płaszcz leżał na ziemi między nim a Gębalem. Na płaszczu - po prawej ręce Gębala, po lewej De Spaina - kabura z rewolwerem skierowanym lufą do policjanta. De Spain stał na chrzęszczącym żwirze, oświetlonym promieniami księżyca.

Po długiej chwili ciszy, zakłócanej ciężkimi oddechami, De Spain powiedział:

- Spróbuj jeszcze raz. - Powiedział to spokojnie, od niechcienia, jakby zwracał się do faceta grającego w bilard.

Gębał miał koszmarnie zakrwawioną twarz. W mroku dokładnie jej nie widziałem, ale raz czy dwa oświetliłem go latarką i wiedziałem, że jest cała czerwona. Ręce miał już wolne, w krocze oberwał dawno temu i pamięć o tym nieprzyjemnym wydarzeniu zagubiła się gdzieś po drugiej stronie oceanu cierpienia i bólu. Wydał z siebie skrzekliwy odgłos, stanął bokiem do De Spaina, ugiął prawe kolano i rzucił się w stronę rewolweru.

De Spain kopnął go w twarz.

Gębał potoczył się po żwirze, zakrył twarz rękami i zaskomlał jak pies. De Spain podszedł bliżej i

kopnął go w kostkę. Gębal zawył. Wtedy De Spain cofnął się na swoje miejsce, za płaszcz z leżącą na nim kaburą. Gębal tarzał się chwilę, potem ukląkł i potrząsnął głową. Z jego twarzy kapały na żwir wielkie, czarne krople. Wolno wstał i lekko pochylony, znieruchomiał.

- No dalej - zachęcał De Spain. - Przecież z ciebie ostry twardziel. Stoi za tobą Vance Conried, a za Conriedem cały syndykat. Może kryje cię nawet sam szef, komendant Anders. A ja jestem tylko nędznym platfusem bez perspektyw. No chodź. Damy małe przedstawienie.

Gębal skoczył jak olbrzymi szczupak. Czubkami palców zdołał dotknąć rewolweru, ale tylko go obrócił. De Spain przydeptał mu dłoń butem i wwiercił się w nią obcasem. Gębal wrzasnął. Policjant odskoczył do tyłu i znudzonym głosem spytał:

- Czyżbyś się przetrenował, złotko?

- Chryste, dlaczego nie pozwolisz mu gadać? - wykrztusiłem ochryple.

- On nie chce gadać - odrzekł De Spain. - On nie z tych, co lubią mówić. To twardy gość.

- No to go zastrzel w cholerę i już.

- Nic z tego - odparł. - Za kogo ty mnie masz? Hej, Moss, słyszysz? Ten facet myśli, że jestem z tych sadystycznych gliniarzy, którzy od czasu do czasu muszą komuś przyłożyć ołowianą rurą, żeby nie dostać z nerwów niestrawności. Słyszysz? No, co jest? Powiedz, że to nieprawda. Przecież to uczciwa walka, nie? Jesteś cięższy o dwadzieścia funtów, a zobacz, gdzie leży spluwa.

- Powiedzmy, że jej dopadnę - wymamrotał niewyraźnie Gębal. - Twój kumpel mnie rozwali.

-- Nie rozwali, wykluczone. No chodź, gorylu, spróbujmy ostatni raz. Przecież masz jeszcze parę, nie?

Gębal wstał. Podnosił się wolno niczym człowiek wspinający się na pionową ścianę. Zachwiał się i otarł ręką krew z twarzy. Rozbolała mu głowa. Czuję mdłości.

Nagle Gębal zaatakował prawą nogą. Przez ułamek sekundy wyglądało na to, że coś z tego będzie, ale De Spain chwycił go za stopę, cofnął się i pociągnął, tak że Gębal zachwiał się i podskakując na lewej nodze, próbował utrzymać równowagę.

- Ja to mogłem zrobić - zauważył spokojnie De Spain - bo ty trzymałeś w łapie wielką spluwę, a ja nie, i nie przypuszczałeś, że zaryzykuję. Teraz sam widzisz, że to nie zawsze działa.

Błyskawicznym ruchem obu rąk wykręcił mu nogę. Ciało gorylowatego wielkoluda wystrzeliło nagle w górę i przechyliło się na bok. Gębal runął twarzą w żwir, ale nie, De Spain nie puścił stopy przeciwnika. Gębal rzucał się wściekle, charczał i powarkiwał jak zwierzę. Wtedy policjant szarpnął stopą jeszcze raz i mocno ją wykręcił. Gębal zawył jak obdzierany ze skóry.

De Spain wysunął nogę i nastąpił na drugą kostkę leżącego. Naparł ciałem na tę, którą wciąż trzymał i rozszerzył mu nogi. Gębal chciał zaczerpnąć powietrza i jednocześnie wrzasnąć, skutkiem

czego wyartykułował coś na kształt ujadania wielkiego, starego psa.

- Za to, co robię, niektórzy faceci biorą szmal - powiedział De Spain. - I to nie byle jaki. Tęgi szmal. Chyba powinienem się tym zainteresować.

- Puść mnie! - krzyknął Gębal. - Puszczaj! Będę gadał! Będę gadał!

De Spain rozłożył mu nogi jeszcze bardziej, wykonał jakiś szybki ruch i nagle Gębal zwiotczał. Wyglądał jak olbrzymi lew morski, który niespodziewanie zasłabł. De Spain zwolnił uścisk i kiedy noga Gębala wyrznęła o ziemię, zatoczył się na bok. Potem wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł niespiesznie twarz i dłonie.

- To mięczak - rzucił. - Chleje za dużo piwka. A wyglądał na takiego chojraka, no. Może to przez to, że tak dużo jeździł samochodem. Dupa cały czas za kółkiem, to i osłabł.

- Dupa za kółkiem, a łapa na spluwie - dodałem.

- Znakomity pomysł - stwierdził De Spain. - Przecież nie chcemy, żeby stracił twarz, nie?

I kopnął go w zębra. Po trzecim kopie usłyszeliśmy głuche sieknięcie, a w miejscu, gdzie były oczy Gębala, coś błysnęło.

- Wstawaj - rzekł policjant. - Już nie będę cię bił.

Gębal wstał. Zajęło mu to dobrą minutę. Usta, a właściwie to, co z nich zostało, miał szeroko otwarte. Wtedy przypomniały mi się usta innego mężczyzny i przestałem go żałować. Młócił powietrze rękami w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby się oprzeć.

- Mój kumpel twierdzi, że nawet ze spluwą w ręku mięczak z ciebie jak cholera. Nie chciałbym, żeby taki silny facet jak ty był mięczakiem. Masz, weź tego gnata. - Kopnął lekko kaburę, tak że zsunęła się z płaszcza tuż pod nogi Gębala.

Gębal pochylił ramiona, żeby na nią spojrzeć. Szyi nie mógł już wygiąć.

- Będę gadał - wymamrotał.

- Nikt cię nie prosi, żebyś gadał. Prosiłem cię tylko, żebyś wziął do łapy ten rewolwer. Weź go, bo ci znowu przyleję. Nie zmuszaj mnie do tego. Podnieś go, kapujesz?

Gębal opadł na kolana. Jego palce objęły rękojeść broni. De Spain obserwował go z kamiennym spokojem.

- O tak, zuch z ciebie. Teraz masz rewolwer. Teraz znów jesteś twardziel. Znów możesz załatwić kilka babek, nie? Wyjmij go z kabury.

Bardzo wolno, jakby z wielkim wysiłkiem, Gębal wyciągnął z kabury broń. Klęczał, a rewolwer zwisał mu między nogami.

- Co?! Nie zamierzasz nikogo kropnąć?! - drażnił go De Spain.

Gębał wypuścił rewolwer i zaszlochał.

- Hej, ty! - warknął De Spain. - Włóż spluwę tam, skąd ją wzięłeś! Chcę, żeby była czysta, jasne? Ja dbam o broń.

Gębał wymacał rękojeść i powoli włożył rewolwer do skórzanej pochwy. Stracił przez to resztkę sił - upadł twarzą na kaburę.

De Spain ujął go pod ramię, przetoczył na plecy i podniósł z ziemi broń. Otarł rękojeść i przypasał kaburę do piersi. Później nałożył płaszcz.

- Teraz pozwolimy mu gadać - powiedział. - Jak facet nie chce mówić, to nie wierzę, żeby mówił prawdę. Masz papierosa?

Wyjąłem z kieszeni paczkę, wytrząsnąłem z niej papierosa i poczęstowałem go. Zapaliłem latarkę, żeby lepiej widział i ujrzałem te jego wielkie paluchy.

- Zgaś, po co to - rzucił. Poszukał zapalek, zapalił i wolno wciągnął dym w płuca.

Pstryknąłem latarką.

De Spain spojrział na zbocze wzgórza, na połyskujące w oddali morze, na łuk wybrzeża i oświetlone mola przystani.

- Ładnie tu - zauważył.

- Ale zimno - stwierdziłem. - Nawet latem. Napiłbym się czegoś.

- Ja też - odrzekł. - Tylko że na bani nie mogę pracować.

## *Szprycun*

De Spain zatrzymał samochód i spojrział w górę. W oknie na szóstym piętrze paliło się światło. Centrum Lekarzy i Chirurgów zaprojektowano tak, że skrzydła gmachu rozchodziły się promieniście, więc widzieliśmy stąd okna wszystkich pomieszczeń.

- Chryste Panie... - mruknął policjant. - On tam jest. Ten facet chyba nigdy nie śpi. Zerknij na tę bryczkę, dobra?

Minąłem ciemny sklep, który zbudowano przy głównym wejściu do budynku. Na jednym z miejsc parkingowych stał długi czarny sedan. Parkował porządnie, dokładnie między dwoma ukośnymi liniami, jakby to była dwunasta w południe, a nie prawie trzecia nad ranem. Obok przedniej tablicy rejestracyjnej widniał lekarski, emblemat: laska Hipokratesa z owiniętym wokół niej wężem. Oświetliłem wnętrze wozu, z prawa jazdy na szybie odczytałem część nazwiska właściciela, zgasilem latarkę i wróciłem do De Spaina.

- Zgadza się. Skąd wiedziałeś, że to jego okno i że o tej porze w ogóle tam będzie? - spytałem.

- Napęlnia te swoje szpryce - odrzekł. - Chodziłem trochę za facetem, to wiem.

- Chodziłeś za nim? Dlaczego?

Nie odpowiedział, tylko na mnie spojrział. Potem zerknął do tyłu.

- No i jak się miewamy, panie kolego? - spytał.

Spod dywanu na podłodze dobiegł nas stłumiony dźwięk, który przy odrobinie dobrej woli można by wziąć za ludzki głos.

- Lubi jeździć - powiedział De Spain. - Te wszystkie łapsy lubią jeździć samochodem. Dobra. Tylko zaparkuję i pójdziemy na górę.

Nie włączając świateł, odjechał za róg budynku, w ciemność przyprószoną srebrem księżyca. Warkot silnika umilkł. Po drugiej stronie ulicy rząd wielkich eukaliptusów osłaniał kilka miejskich kortów tenisowych. Nad bulwarem unosił się zapach morskich wodorostów.

De Spain wyszedł zza rogu i ruszyliśmy do głównego wejścia. Było zamknięte, więc zastukaliśmy w grube szkło. W głębi, z otwartej windy za wielką spiżową skrzynką pocztową, buchnęło światło. Z windy wysiadł jakiś starzec z pękiem kluczy. Podszedł do drzwi, stanął i zaczął się nam przyglądać. De Spain pokazał mu policyjną odznakę. Starzec spojrział na nią mrużąc oczy, otworzył drzwi, a kiedy weszliśmy do środka, bez słowa je zamknął. Wrócił korytarzem do windy, poprawił domowej roboty poduszkę na stołku, zaklekotał sztuczną szczęką i spytał:

- Czego chcecie?

Miał szarą, pociągłą twarz, która gderała nawet wtedy, kiedy nic nie mówił. Spodnie miał wytarte przy mankietach, a jeden z jego czarnych butów ze schodzonymi obcasami na pewno ukrywał bolesny guz na dużym palcu. Granatowy mundur wisiał na nim jak prześcieradło na sznurze do bielizny.

- Doktor Austrian jest na górze, tak? - spytał De Spain.

- Nie byłbym zaskoczony.

- Nie próbuję pana zaskoczyć. Gdybym chciał, włożyłbym różowe rajstopy.

- Taa, jest u siebie - burknął cierpko starzec.

- O której widział pan ostatni raz Greba, tego laboranta z czwartego?

- Nie widziałem go.

- A o której objąłeś pan dyżur, tatuśku?

- O siódmej.

- No dobra. Jedziemy na szóste.

Starzec zamknął drzwi kabiny z głośnym uszszsz, powolutku i ostrożnie zawiózł nas na szóste piętro, znów uszszsznął drzwiami i znieruchomiał na swoim stołku, niczym drewniana figura.

De Spain sięgnął ponad głowę windziarza i zdjął ze ściany uniwersalny klucz.

- Zaraz, zaraz, tego nie wolno robić - zaprotestował tamten.

- Kto mówi, że nie wolno?

Rozeźlony starzec pokręcił głową, nie odpowiedział nic.

- Ile macie lat, tatuśku? - spytał De Spain.

- Niedługo skończę sześćdziesiąt.

- Nie wciskaj mi tu kitu, łaskawco. Ani chybi idzie ci na siódmy krzyżyk. Jakim cudem dostałeś licencję windziarza, co?

Starzec zaklekotał sztucznymi zębami, ale milczał.

- To już lepiej. Nie kłap jadaczką, a wszystko będzie figo-fago. A teraz zjedź tam, skąd nas zabrałeś, tatuśku.

Wysiedliśmy. Winda ruszyła cicho w dół. De Spain stał i patrzył na korytarz, podzwaniając

kluczem na kółku.

- Teraz słuchaj - zaczął. - Jego gabinet jest na końcu. Cztery pokoje. Najpierw jest recepcja, w pokoju biurowym przedzielonym na pół. Z drugiej połowy korzysta sąsiedni gabinet, ten bliżej nas. Dalej jest wąski korytarz, równoległy do tego tu. W korytarzu kilka drzwi, a na końcu pokój przyjęć. Chwytasz?

- Chwytam. Co ty kombinowałeś? Chciałeś się tam włamać?

- Po śmierci jego żony miałem na faceta oko.

- Szkoda, że nie na jego rudowłosą pielęgniarkę - powiedziałem. - Tę, którą dzisiaj kropnęli.

Z twarzą pokerzysty, spojrzał na mnie przeciągle głębokimi, czarnymi oczami.

- Na nią też - odparł. - Kiedy się dało.

- Akurat. Nawet nie wiedziałeś, jak się nazywa. - Wlepiłem w niego wzrok. - Musiałem ci dopiero powiedzieć. Przetrawił to.

- No tak, ale widzieć ją w białym fartuchu i widzieć jej nagiego trupa na łóżku to pewna różnica, nie?

- Jasne - odrzekłem, nie spuszczać z niego oczu.

- No dobra. Słuchaj. Zapukasz do gabinetu. To trzecie drzwi od końca. Kiedy otworzy, wślizgnę się do recepcji, a później podejść bliżej, żeby posłuchać, o czym będzie gadał.

- Brzmi nieźle - przyznałem. - Ale radochy jakoś nie czuję.

Ruszyłem korytarzem. Wszystkie drzwi były zrobione z litego drewna i szczelnie dopasowane, tak że zza żadnych nie sączyło się światło. Przystawiłem ucho do tych, które wskazał mi De Spain i usłyszałem za nimi jakiś ruch. Spojrzałem na De Spaina i kiwnąłem głową. Włożył powoli klucz do zamka i kiedy zapukałem, kątem oka zobaczyłem, jak wchodzi do recepcji i natychmiast zamyka za sobą drzwi. Zastukałem jeszcze raz. Załomotałem głośno i natarczywie.

Otworzył nagle. Stał o pół kroku ode mnie, w blasku światła, którego refleksy igrały mu we włosach koloru jasnej słomy. Był w koszuli, a w ręku trzymał płaską skórzaną walizeczkę. Wysoki, chudy jak szczapa, miał ciemnobrązowe, nieszczęśliwe oczy i piękne dłonie, wysmukłe i szczupłe, z kwadratowo zakończonymi, lecz kształtnymi czubkami palców. Paznokcie miał wypolerowane i bardzo krótko obcięte.

- Doktor Austrian? - spytałem.

Skinął głową. Pod skórą chudej szyi poruszyło mu się jabłko Adama. Tak jakoś niezdecydowanie.

- To zabawna pora jak na wizytę, wiem, ale bardzo trudno pana złapać. Jestem prywatnym

detektywem z Los Angeles. Mam klienta nazwiskiem Harry Matson.

Albo nie był zaskoczony, albo przywykł do kamuflowania emocji. Grdyka znów się mu poruszyła, a on poruszył ręką, w której trzymał walizeczkę. Spojrzał na nią jakby zdziwiony i cofnął się w głąb korytarza.

- Teraz nie mam czasu - powiedział. - Niech pan przyjdzie jutro.

- To samo powiedział mi Greb - rzuciłem na rybkę.

To nim trzepnęło, i to zdrowo. Nie wrzasnął ani nie upadł w nagłym ataku, ale widziałem, że nim wstrząsnęło.

- Proszę wejść - mruknął zduszonym głosem.

Wszedłem. Zamknąłem drzwi. W gabinecie stało biurko, chyba z czarnego szkła, i krzesła obiekane szorstką wełną na stelażu z chromowanych rurek. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia były otwarte. Panowała tam ciemność i tylko na stole do badań leżało mocno naciągnięte prześcieradło, a na końcu stołu dostrzegłem coś na kształt strzemion. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk.

Na blacie szklanego biurka leżał czysty ręcznik, na ręczniku kilkanaście strzykawk, a tuż obok - igły. Przy ścianie stał elektryczny sterylizator, w którym gotowała się z pewnością druga partia strzykawk oraz igieł. Oglądałem to wszystko, tymczasem doktor obszedł biurko i usiadł.

- Sporo tych igieł - zauważyłem i przystawiłem sobie krzesło.

- Z czym pan do mnie przychodzi? - Głos miał nadal zduszony.

- Niewykluczone, że mogę się panu przysłużyć w związku ze śmiercią pańskiej żony, doktorze.

- To bardzo uprzejmie z pana strony. A jak się pan może przysłużyć?

- Kto wie, może mógłbym panu powiedzieć, kto ją zamordował.

Błysnął zębami w dziwnym, nienaturalnym półuśmiechu. Potem wzruszył ramionami, a kiedy się znów odezwał, mówił z takim przejęciem, jakbyśmy rozprawiali o pogodzie.

- Tak, to byłoby bardzo ładnie z pańskiej strony. A ja myślałem, że ona popełniła samobójstwo. Wyglądało na to, że koroner i policja się ze mną zgadzają. Ale, oczywiście, prywatny detektyw...

- Greb był innego zdania - strzeliłem w ciemno. - Ten facet, który podmienił próbkę krwi pańskiej żony i zastąpił ją próbką krwi osoby zmarłej od zezadzenia.

Patrzył na mnie spokojnie głębokimi, smutnymi i błędzącymi gdzieś daleko oczyma, osadzonymi pod ciemnobrązowymi brwiami.

- Pan nie widział się z Grebem - odrzekł kryjąc rozbawienie. - Skądinąd wiem, że Greb wyjechał



do Ohio. Umarł mu ojciec.

Wstał, podszedł do sterylizatora, spojrzął na zegarek i wyłączył urządzenie. Wrócił do biurka, otworzył płaskie pudełko z papierosami, włożył papierosa do ust, po czym pchnął pudełko w moją stronę. Poczęstowałem się. Kątem oka zerknąłem na ciemne pomieszczenie obok, ale nie dostrzegłem tam nic oprócz tego, co widziałem przedtem.

- To zabawne - skonstatowałem. - A jego żona o niczym nie wiedziała. Gębal też nie wiedział. Związał kobiecinę, ułożył ją na łóżku, siedział i czekał, aż Greb wróci do domu, bo chciał go posłać do aniołków.

Spojrzał na mnie i jakby się zawahał. Pomacał ręką po biurku w poszukiwaniu zapalek, otworzył boczną szufladę i wyjął z niej mały automatyczny pistolet z białą rękojeścią. Trzymając go płasko na dłoni, drugą ręką rzucił mi pudełko zapalek.

- Pistolet nie będzie panu potrzebny - stwierdziłem. - To rozmowa o interesach i zobaczy pan, że się panu opłaci.

Wyjął papierosa z ust i upuścił go na blat biurka.

- Nie palę - wyjaśnił. - To było tylko coś, co można by nazwać gestem niezbędnym. Cieszę się, że pistolet nie będzie mi potrzebny. Ale wolę go mieć pod ręką i nie potrzebować, niż potrzebować, kiedy go pod ręką nie będzie. Więc kto to jest Gębal i co jeszcze ma pan mi do powiedzenia, zanim wezwę policję?

- Powiem panu, a jakże - odparłem. - Po to tu przyszedłem. Pańska żona grała często w ruletkę w klubie Vance'a Conrieda i przegrywała pieniądze, które doił pan z tej szprycerskiej fuchy. A przegrywała je niemal tak szybko, jak je pan zarabiał. Niektórzy powiadają, że łączyły ją z Conriedem stosunki bardziej intymne. Ponieważ spędzał pan noce poza domem i nie zawracał pan sobie głowy wypełnianiem mężowskich obowiązków, być może wcale to pana nie obchodziło. Ale obchodziły pana pieniądze, bo żeby je zarobić, wiele pan ryzykował. Wróć do tego później. Owej tragicznej nocy pańska żona dostała histerii w klubie "Conrieda". Wezwano pana, przyjechał pan i uspokoił żonę zastrzykiem. Conried zawiózł ją do domu. Zatelefonował pan do swojej pielęgniarki, do Heleny Matson, byłej żony Harry'ego Matsona, i poprosił ją pan, żeby wpadła do pana do domu i sprawdziła, czy z żoną wszystko w porządku. Później Harry Matson znalazł ją martwą pod samochodem w pańskim garażu. Pogadał z panem, pan pogadał z szefem waszej policji i całą sprawę wyciszono tak skutecznie, że senatorzyna z Południa, któremu by tak dokładnie zamknięto usta, wyglądałby jak głuchoniemy błagający o drugi talerz papki kukurydzianej. Ale Matson, facet, który znalazł się na miejscu zbrodni jako pierwszy, coś miał. Nie zdołał opchnąć tego panu, bo wbrew pozorom jest pan człowiekiem bardzo odważnym. Zresztą może to pański przyjaciel, komendant Anders, powiedział panu, że to coś to żaden dowód. Więc Matson próbował zarzucić przynętę na Conrieda, bo wykombinował sobie, że jeśli tylko dojdzie do rozprawy, jeśli tylko zbierze się wielka i niezłomna ława przysięgłych, cała rzecz odbije się na szulerni Conrieda. Gdyby do tego doszło, Conried byłby usadzony tak skutecznie, jak zatarty tłok w cylindrze, a ludzie, którzy za nim stoją, mogliby się wtedy wkurzyć i zabrać mu te wszystkie koniki do gry w polo. Conriedowi to się nie spodobało, więc pogadał z Mossem Lorenzem i kazał mu zająć się Matsonem. Moss Lorenz to dzisiaj

szofer burmistrza, a kiedyś jeden z silnorękich zatrudnionych w klubie "Conrieda". To właśnie tego faceta nazwałem Gębalem. Matson stracił licencję detektywa i przepędzono go z Bay City. Ale na swój sposób ten Matson to był twardy gość. Zaszły się w Los Angeles i próbował dalej. Właściciel kamienicy, w której przywarował, coś zwęszył i zaczął mu się stawiać. Nie wiem jak i dlaczego, ale policja to wyjaśni. W każdym razie po jakimś czasie Matsona przypucono, skutkiem czego dzisiaj wieczorem odwiedził go w mieszkaniu Gębał. Skatował go na śmierć. Zamilkłem na chwilę i spojrzałem na chudego, wysokiego lekarza. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Kilka razy zamrugał, bawił się pistoletem - i to wszystko. W gabinecie panowała głęboka cisza. Strzygłem czujnie uszami, ale nie, z sąsiedniego pomieszczenia nie doszedł mnie szmer oddechu.

- Matson nie żyje? - spytał wolno Austrian. - Mam nadzieję, że nie podejrzewa pan mnie. Nie miałem z tym nic wspólnego. - Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

- Tego nie wiem - odrzekłem. - Najsłabszym elementem pańskiego planu był Greb i ktoś go dzisiaj wyekspediował z miasta. Wyjechał szybko, zanim Gębał zamordował Matsona. Ten ktoś dał mu najprawdopodobniej pieniądze, bo widziałem, jak Greb mieszka i nie wyglądało mi to na apartament faceta, który ma tęgi szmal.

- Niech szlag trafi tego Conrieda! - wyrzucił z siebie Austrian. - Zadzwoił do mnie rano i powiedział, żebym kazał Grebowi wyjechać. Tak, dałem mu pieniądze, ale... - Urwał i z rozwścieczoną twarzą spojrzał na swój pistolet.

- Ale nie wiedział pan, co jest grane - dokończyłem za niego. - Wierzę panu, doktorze, naprawdę wierzę. Proszę odłożyć broń, dobrze? Chociaż na chwilę.

- Niech pan mówi dalej - warknął. - Proszę mówić.

- No dobra. Jest tego od groma. Po pierwsze, policja z Los Angeles znalazła ciało Matsona, ale gliniarze zjawią się tu dopiero jutro. Dlaczego? Bo teraz jest już za późno, a po drugie, kiedy złożą tę historyjkę do kupy, nie będą chcieli spieprzyć sprawy. Klub Conrieda podlega jurysdykcji Los Angeles i ta wielka, niezłomna ława przysięgłych, o której wspominałem, nie posiadałaby się z radości. Moss Lorenz przyzna się do winy, żeby otrzymać lżejszy wyrok i dostanie kilka lat w Quentin. Tak się załatwia sprawy, kiedy prawo chce je tak załatwić. Dalej, skąd wiem, że Gębał zamordował Matsona? Bo nam powiedział. Pojechaliśmy z kumplem szukać Greba, a w jego domu czekał Gębał. Siedział po ciemku z panią Greb związaną na łóżku i daliśmy mu w łeb. Potem zawieźliśmy go na wzgórze, spuściliśmy człowiekowi manto i zaczął gadać. Nawet mu trochę współczułem. Biedak, dwa morderstwa, a nie zapłacili mu ani centa.

- Dwa morderstwa? - spytał Austrian nieswoim głosem.

- Zaraz do tego dojdę. Rozumie pan teraz, jak wygląda pańska sytuacja. Za chwilę powie mi pan, kto zabił pańską żonę, a najzabawniejsze będzie to, że panu nie uwierzę.

- Boże! - szepnął. - Boże! - Wycelował we mnie pistolet i natychmiast, nim zdążyłem zrobić unik, opuścił lufę.

- Jestem cudotwórcą - powiedziałem. - Jestem wielkim amerykańskim detektywem i nigdy mi nie płacą. Nie, nie rozmawiałem z Matsonem, chociaż próbował mnie wynająć. A teraz powiem panu, jakiego to haka na pana miał, jak zginęła pańska żona i dlaczego to nie pan ją zamordował. A wszystko to na podstawie szczypty marnego pyłu, niczym wiedeńska policja.

Nie rozbawiłem go. Westchnął tylko przez zaciśnięte zęby, a jego twarz postarzała się i zszarzała.

- Ten hak to zielone aksamitne czółenko, taki pantofelek - kontynuowałem. - Zrobili go w Verschoyle, w Hollywood, na zamówienie pańskiej żony. Na czółenku wytłoczyli jej numer. Pantofelek był nowy i nigdy nie noszony. Zrobili dla niej dwie identyczne pary. Jedno z tych czółenek miała na nodze, kiedy znalazł ją Matson. A wie pan, gdzie ją znalazł. W garażu i żeby się tam dostać, musiała przejść betonowym deptakiem prowadzącym do bocznych drzwi domu. W tym pantofelku przejść do garażu nie mogła. Wniosek? Została zamordowana, a ten, kto ją zamordował, nałożył jej w pośpiechu jeden pantofelek używany i jeden nowutki. Matson to zauważył i czym prędzej to czółenko zwinął. Kiedy wysłał go pan do domu, żeby zatelefonował do Andersa, wślizgnął się pan do garderoby, wziął drugi używany pantofelek, i nałożył go pan na bosą stopę żony. Wiedział pan, że to Matson musiał świsnąć czółenko, ale nie wiem, czy wspomniał pan o tym komuś czy nie. Dobrze mówię?

Skinął leciuteńko głową i lekko zadrżał. Ale dłoń, w której ścisnął pistolet, była jak z kamienia.

- Oto w jaki sposób została zamordowana. Greb komuś zagrażał, co dowodzi, że nie umarła od zaccadzenia. Kiedy ułożono ją pod samochodem, już nie żyła. Umarła od przedawkowania morfiny. Strzelałem, przyznaję, ale to chyba celny strzał, bo to jedyny sposób, który zmusiłby pana do krzyku prawdziwego mordercy. I łatwy dla kogoś, kto miał morfinę tudzież okazję, by jej użyć. Musiał tylko zrobić jej drugi zastrzyk dokładnie w miejsce, w które zrobił pan pierwszy. A zrobił go pan nieco wcześniej, w klubie "Conrieda". Później wrócił pan do domu i znalazł ją martwą. I musiał pan mordercę krzyć, bo wiedział pan, jak umarła. Nie mógł pan dopuścić, by prawda wyszła na jaw. Bo szprycuje pan ludzi morfiną.

Wreszcie się uśmiechnął. Nawet o tym nie wiedział. Uśmiech zawisł mu w kącikach ust niczym pajęczyna w starej piwnicy.

- To wielce interesujące - powiedział. - Zabiję pana, ale to bardzo interesujące.

Wskazałem na elektryczny sterylizator.

- W Hollywood jest sporo takich łapiduchów jak pan, takich szprycunów. Jeżdżą nocami po mieście ze skórzanymi walizeczkami wyładowanymi strzykawkami i szprycują alkoholików i narkomanów, żeby im szajba nie odbiła, przynajmniej przez jakiś czas. Zdarza się, że któryś z nich wpada w nałóg i wtedy jest kłopot. Niewykluczone, że gdyby się pan nimi nie zajął, większość pańskich pacjentów wyładowałaby w pudle albo w domu wariatów. A na pewno straciliby pracę, jeśli w ogóle pracowali. A niektórzy z nich siedzą na wysokich stołkach. To niebezpieczna zabawa, bo jak taki się obrazi, to może coś wychłapać federalnym, a jak federalni zaczną węszyć i wszystko sprawdzać, zawsze znajdą kogoś, kto będzie gadał. Próbuje się pan choć trochę zabezpieczyć i część towaru ściąga pan lewymi kanałami. Po mojemu morfinę załatwiał panu Conried i właśnie dlatego

pozwolił mu pan zabrać sobie żonę i pieniądze.

- Wali pan prosto z mostu - przyznał grzecznie Austrian.

- A dlaczego nie? To rozmowa między nami mężczyznami. Nie mogę niczego udowodnić. To czólenko, które zwinął Matson, przydałoby się jedynie jako podkładka do sprawy, ale w sądzie nie byłoby warte dziesięciu centów. A takiego bubka jak Greb, jeśli w ogóle daliby radę ściągnąć go na rozprawę, każdy obrońca zrobiłby na szaro. Ale utrzymanie licencji na uprawianie zawodu może pana kosztować kawał grosza.

- Dlatego opłacałoby mi się oddać część tych pieniędzy panu - wtrącił. - O to chodzi?

- Nie. Niech pan wykorzysta te pieniądze na wykup ubezpieczenia na życie. Mam tylko jedno pytanie. Czy przyzna się pan do zamordowania żony?

- Tak. - Powiedział to ot tak, po prostu, lekko i zwyczajnie, jakbym prosił go o papierosa.

- Tak myślałem. Ale nie musi pan. Widzi pan, ten, kto zabił pańską żonę, zabił ją dlatego, że przepuszczała pieniądze, które mógłby przepuścić ktoś inny. Ten ktoś wiedział również to, co wiedział Matson, i też próbował zastraszyć Conrieda. Dlatego go skasowali. Tak, wczoraj wieczorem, na Brayton Avenue. Tak więc nie musi pan już tego kogoś kryć. Nad kominkiem w tamtym mieszkaniu widziałem pańskie zdjęcie. *Z najgłębszą miłością - Leland*. Schowałem je. I nie musi pan już jej kryć, doktorze. Helena Matson nie żyje.

Rzuciłem się w bok na ułamek sekundy przed wystrzałem. Do tej chwili łudziłem się, że nie pociągnie za spust, ale jakaś część mojego "ja" złudzeń takich najwidoczniej nie miała. Krzesło runęło na podłogę, ja pełzałem na czworakach i wtedy w ciemnym pomieszczeniu obok huknął wystrzał znacznie głośniejszy.

Do gabinetu wszedł De Spain. Swym wielkim łapskiem obejmował rękojeść policyjnego rewolweru. Lufa jeszcze dymiała.

- Tylko spójrz, kurde - powiedział z uśmiechem. - Co za strzał.

Wstałem i popatrzyłem na Austriana. Znieruchomiał za biurkiem, ściskając prawą rękę i lekko nią potrząsając. Nie miał już pistoletu. Pistolet leżał na rogu biurka.

- Jak pragnę zdrowia, nawet go nie zadrasnąłem - skonstatował De Spain. - Trafiłem prosto w spluwę.

- Cudownie - mruknąłem. - A co by było, gdyby on trafił mnie w łeb?

Policjant spojrział na mnie i przestał się uśmiechać.

- Rozpracowałeś go cacy, przyznaję - burknął. - Tylko dlaczego nic mi nie powiedziałaś o tym czólenku? Co jest grane?

- Cały czas byłem twoim przydupasem - odrzekłem.- Miałem tego dość. Chciałem zrobić coś wreszcie na własną rękę.

- Ile w rym wszystkim prawdy? - spytał.

- Matson to członek miał. To musiało coś znaczyć. Teraz, kiedy to poskładałem do kupy, myślę, że tak naprawdę było.

Doktor Austrian wstał wolno z krzesła. De Spain błyskawicznie wycelował w niego broń. Chudy, zmizerowany lekarz pokręcił wolno głową, podszedł do ściany i oparł się o nią.

- To ja ją zabiłem - powiedział martwym głosem do nikogo w szczególności. - To nie Helena. To ja. Wezwijcie policję.

De Spain wykrzywił twarz, podniósł z blatu pistolet i schował go do kieszeni. Wetknął rewolwer do kabury pod pachą, usiadł przy biurku i przysunął bliżej telefon.

- Kaktus mi tu wyrośnie, jak pomogę Andersowi się z tego wyplątać - mruknął.

## *Najodważniejszy facet, jakiego znałem*

Szef miejscowej policji - mały człowieczek, w kapeluszu wciśniętym na tył głowy, z rękami w kieszeniach ciemnego płaszcza - wszedł rażno do środka. W prawej kieszeni coś miał, coś, na czym kurczowo zaciskał palce, coś dużego i ciężkiego. Za nim weszli dwaj tajniacy. Jednym z nich był Cyngiel Weems, kłocowaty facet z nalaną gębą, który śledził mnie na ulicy Altair. Korowód zamykał Krótki, gliniarz, którego pozbyliśmy się na Arguello Boulevard.

Anders zatrzymał się w progu i posłał mi paskudny uśmiech.

- Słyszałem, że dobrze się w naszym mieście bawiłeś - powiedział. - Weems, zaobraczkuj go.

Weems wyszedł zza jego pleców i z lewej kieszeni wyciągnął kajdanki.

- Miło cię znowu widzieć - rzucił z udawaną służalczością. - Z opuszczonymi portkami - dodał.

De Spain stał opierając się o ścianę tuż przy drzwiach do ciemnego pokoju przyjęć. Żuł zapałkę i przyglądał się nam w milczeniu.

Doktor Austrian znów siedział przy biurku. Siedział obejmując głowę rękami, spoglądając na czarny, wypolerowany blat, na ręcznik z igłami, na mały, czarny kalendarzyk, na podstawkę do piór i na inne leżące tam drobiazgi. Twarz miał białą jak kreda i siedział jak skamieniały, zdawało się, że nawet nie oddycha.

- Powoli, szefie, niech się pan tak nie spieszy - powiedział nagle De Spain. - Ten facet ma kumpli w Los Angeles, którzy rozpracowują właśnie pewne morderstwo. A ten małolat, ten reporter, ma szwagra gliniarza. O tym pan nie wiedział.

Anders ruszył lekko brodą, jakby z wahaniem.

- Zaczekaj, Weems. - Popatrzył na De Spaina. - Mówisz, że ci z miasta wiedzą już, że Helena Matson została zamordowana?

Doktor Austrian drgnął, odsłonił na chwilę blade, zmęczone oblicze, po czym opuścił głowę i długimi palcami zakrył całą twarz.

- Nie. Miałem na myśli Harry'ego Matsona, szefie - odrzekł De Spain. - Dzisiaj... To znaczy wczoraj wieczorem zamordował go w Los Angeles Moss Lorenz.

Anders wciągnął wargi tak głęboko, że niemal nie było ich widać, i spytał:

- Skąd wiesz?

- Bo zgarnęliśmy Mossa, on i ja. Ukrywał się w domu faceta nazwiskiem Greb. Ten Greb to

laborant, który badał próbkę krwi żony doktora Austriana. Ukrywał się, bo wyglądało na to, że ktoś chce na nowo otworzyć sprawę jej śmierci, w dodatku otworzyć ją tak szeroko, że burmistrz wzięłyby ją za nowy bulwar i przyszedłby z kwiatkami, żeby wygłosić mowę. Chyba, że ktoś zająłby się Grebem i Matsonami. Wychodzi na to, że Matsonowie ściśle z sobą współpracowali, chociaż byli rozwiedzeni, i że usiłowali wycisnąć z Conrieda trochę szmalu. Więc Conried ich skreślił.

Anders obrócił głowę i warknął na swoich przydupasów:

- Na korytarz i czekać.

Tajniak, którego nie znałem, otworzył drzwi i wyszedł. Po chwili wahania wyszedł i Weems. Krótki położył rękę na klamce, kiedy De Spain powiedział:

- Krótki niech zostanie. To porządny gliniarz, nie jak te dwa przekupne dupki, z którymi ostatnio sypiasz.

Krótki puścił klamkę i oparł się o ścianę, zasłaniając ręką roześmianą gębę. Anders poczerwieniał jak burak.

- Kto cię wprowadził w szczegóły sprawy z Brayton Avenue? - warknął.

- Sam się wprowadziłem, szefie. Zaraz po tym, jak ten facet zadzwonił, byłem już w naszym pokoju i pojechałem tam z Reedem. Reed wziął Krótkiego, chociaż Krótki też już skończył służbę.

De Spain uśmiechnął się. Szeroko, leniwie, uśmiechem ani filuternym, ani triumfalnym. Po prostu się uśmiechnął.

Anders wyszarpnął z kieszeni rewolwer. Gnat był długi na co najmniej stopę, ale wyglądało na to, że komendant wie, jak się nim posługiwać.

- Gdzie Lorenz? - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- W bezpiecznym miejscu. Przygotowaliśmy go dla pana. Musiałem go trochę zwyobracać, ale gadać, gadał. - Spojrzał na mnie. - Dobrze mówię?

- Tak jest - przyznałem. - Bełkoce coś, co można wziąć za "tak" albo "nie", ale bełkoce w odpowiednich miejscach, a to już coś.

- To lubię - powiedział De Spain. - Tak powinien gadać facet z jajami. Szkoda tracić czas na babranie się w tych wszystkich zabójstwach, szefie. Przecież te drewniane platfusy, z którymi pan gania, nie wiedzą, co to robota w policji. Umieją tylko wpaść do chałupy i obmacać jakąś samotną babę. Niech pan mnie przyjmie z powrotem do pracy, da ośmiu ludzi, a pokażę panu, jak trzeba działać w wydziale zabójstw.

Anders spojrzał na swój olbrzymi rewolwer, potem na pochyloną głowę doktora Austriana.

- Więc zabił swoją żonę - mruknął cicho. - Wiedziałem, że to możliwe, ale jakoś nie mogłem uwierzyć, żeby...

- I niech pan nie wierzy - wtrąciłem. - To Helena Matson ją zabiła. Doktor Austrian dobrze o tym wie? Osłaniał ją, a pan osłaniał jego. On nadal chce tę Matson osłaniać. To miłość, a miłość taka właśnie niekiedy jest. A swoją drogą klawe miasteczko tu macie, nie ma co. Dziewczyna popełnia morderstwo, przyjaciele i gliny ją kryją, tymczasem ona zaczyna ich szantażować. Bomba.

Anders zagryzł wargi. W jego oczach czaiło się coś paskudnego, ale myślał, myślał jak cholera.

- Nic dziwnego, że oberwała - powiedział w końcu. - Lorenz...

Przerwałem mu.

- Chwileczkę, niech pan dobrze pomyśli. Lorenz nie zabił Heleny Matson. Owszem, twierdzi, że zabił, ale De Spain dał mu taki wycisk, że jak go pan spyta, to przyzna się, że zastrzelił samego McKinleya.

De Spain oderwał się od ściany. Obie ręce trzymał w kieszeniach płaszcza. Stał wyprostowany, z szeroko rozstawionymi stopami; spod kapelusza wychynął mu kosmyk czarnych włosów.

- Hę? - spytał łagodnie. - Że niby co?

- Lorenz jej nie zamordował - powtórzyłem. - Z kilku powodów. Po pierwsze, dla niego taka robota byłaby zbyt skomplikowana. Lorenz by ją grzmotnął i zostawił. Po drugie, Lorenz nie wiedział, że Greb wyjechał z miasta, dostawszy cynk od doktora Austriana, który z kolei dostał cynk od Vance'a Conrieda, który to Conried przebywa teraz gdzieś na północy, szukając dla siebie mocnego alibi. Skoro więc Lorenz o tym wszystkim nie wiedział, nie mógł też wiedzieć o Helenie Matson. Zwłaszcza że tak naprawdę to Helena Matson nigdy do Conrieda nie dotarła. Tak, próbowała do niego dotrzeć, ale na próbach się skończyło. Powiedziała mi to, bo woda rozwiązała jej język. Conried nigdy by tak głupio nie zaryzykował i nie kazałby jej sprzątnąć facetowi, którego wszyscy by natychmiast zapamiętali, gdyby choć raz pokazał się w pobliżu jej mieszkania. Śmierć Matsona w Los Angeles to już inna sprawa. Do Los Angeles jest kawałek drogi, to obcy teren.

- Klub Conrieda podlega jurysdykcji Los Angeles - warknął Anders.

- Z punktu widzenia prawa, tak - przyznałem. - Ale Conried zbudował go tuż za Bay City i większość klientów pochodzi stąd. Właściwie to część waszego miasteczka. I pomaga wam tym miasteczkiem rządzić, zgadłem?

- Nie zwracaj się tak do szefa, platfusie - ostrzegł mnie Krótki.

- Zostaw go - mruknął Anders. - Tak dawno nie słyszałem myślącego faceta, że nie sądziłem, by ktokolwiek jeszcze myślał.

- Niech pan spyta De Spaina, kto zabił Helenę Matson - podsunąłem.



De Spain roześmiał się chrapliwie.

- No jasne, ja ją zabiłem.

Doktor Austrian oderwał ręce od twarzy i wolno obrócił głowę w stronę policjanta. Oblicze miał martwe, równie bez wyrazu jak oblicze De Spaina. Nagle wyciągnął rękę, chciał otworzyć szufladę. Krótki dobył broni i powiedział:

- Zostaw to, doktorku.

Austrian wzruszył ramionami i spokojnie wyciągnął z szuflady buteleczkę z szeroko zakończoną szyjką i szklanym dozownikiem. Odkręcił dozownik i podsunął butelkę pod nos.

- Sole trzeźwiące, to tylko sole... - wyjaśnił zduszonym głosem.

Krótki odprężył się, opuścił rewolwer.

Anders spojrzał na mnie i zaczął żuć wargi. De Spain nie patrzył na nic ani na nikogo. Tylko się swobodnie uśmiechał, po prostu uśmiechał się i tyle.

- On myśli, że ja żartuję - powiedziałem. - Pan też myśli, że ja żartuję. A ja wcale nie żartuję. On znał Helenę, znał ją wystarczająco dobrze, żeby podarować jej połączoną papierośnicę ze swoją fotografią. Obejrzałem sobie tę fotografię. Ręcznie barwiona i niezbyt dobra, a De Spaina widziałem przedtem tylko raz. Helena powiedziała mi, że to stara, zużyta miłość. Potem uzmysłowiłem sobie, kim jest facet z fotografii, a on ukrył przede mną fakt, że ją znał. Zresztą pod wieloma względami nie zachowywał się dzisiaj jak gliniarz. Nie wyciągnął mnie z tarapatów i nie ganiał ze mną po mieście tylko z uprzejmości. Zrobił to, bo chciał wyciągnąć ze mnie wszystko, co wiem, nim zaczęliby mnie maglować na waszej komendzie. I nie po to skatował Lorenza, żeby wydusić z niego prawdę. Skatował go, bo chciał, żeby Lorenz powiedział to, co De Spain kazał mu powiedzieć, żeby przyznał się do wszystkiego, do morderstwa Heleny Matson też, żeby przyznał się do zabicia dziewczyny, której najpewniej w ogóle nie znał. Kto zadzwonił na komendę i dał chłopakom cynk o morderstwie? De Spain. Kto do was zawitał w chwilę potem i kto się wprosił do ekipy dochodzeniowej? De Spain. Kto w napadzie dzikiej zazdrości podrapał Helenę Matson, bo go rzuciła dla kogoś, przy kim miała lepsze perspektywy? De Spain. Kto pod paznokciami prawej ręki ma krew i fragmenty naskórka, które dobry chemik policyjny bez trudu zidentyfikuje? De Spain. Niech pan tylko spojrzy. Bo ja spojrzałem kilka razy.

Anders obrócił głowę wolno, jak na dobrze naoliwionej osi. Zagwizdał, otworzyły się drzwi i do gabinetu wrócili jego ludzie.

De Spain ani drgnął. Wciąż się uśmiechał, usta miał jak wyrzeźbione. Ten uśmiech był pusty, nie znaczył nic i wyglądało na to, że nigdy nie zejdzie mu z twarzy.

- I to mówi facet, którego uważałem za kumpla - powiedział spokojnie. - Muszę przyznać, że pomysły to ty masz, stary.

- Przecież to nie ma sensu - warknął Anders. - Jeśli zabił ją De Spain, to De Spain jest facetem,

który chciał cię w to morderstwo zrobić i który jednocześnie cię z tego bałaganu wyciągnął. To nie klapuje.

- Niech pan posłucha - tłumaczyłem. - Łatwo możecie sprawdzić, czy De Spain tę dziewczynę znał i jak dobrze ją znał. Możecie też sprawdzić, co robił wczoraj wieczorem i czy ma alibi na czas, kiedy dokonano morderstwa. Możecie również sprawdzić, czy pod paznokciami ma krew i resztki naskórka, a potem stwierdzić, czy krew i naskórek mogą, przynajmniej teoretycznie, należeć do Heleny Matson. I czy te ślady były tam, zanim uderzył Mossa Lorenza, zanim zdążył uderzyć kogokolwiek. Dodam jeszcze, że Lorenza nie podrapał. To wszystko, czego panu potrzeba, i wszystko, czym pan dysponuje. Bo De Spain do winy się nie przyznał. I nie sądzę, żeby się kiedykolwiek przyznał. A że chciał mnie zrobić? Myślę, że śledził Helenę Matson albo wiedział, że znajdzie ją w klubie Conrieda i przyjechał tam sam. Zobaczył, jak Helena wychodzi ze mną, jak wsiada do mojego samochodu. To doprowadziło go do furii. Przygrzał mi w łeb, a dziewczyna była zbyt przerażona, żeby stawiać mu jakikolwiek opór. Kazał jej sobie pomóc i wtaszczyli mnie razem do jej mieszkania. Nic z tego nie pamiętam. Tak, gdybym pamiętał, byłoby fajnie, ale nie pamiętam ni cholery. W każdym razie jakoś mnie tam wtaszczyli, pokłócili się, De Spain ją uderzył, a kiedy straciła przytomność, zamordował ją. Chodziło mu po głowie, żeby upozorować to na gwałt i morderstwo, i żeby zrobić ze mnie kozła ofiarnego, ale nie do końca zdążył opracować szczegóły. Potem zwał, wszczął alarm, wręcił się do ekipy dochodzeniowej, a ja uciekłem z mieszkania tuż przed przybyciem pańskich ludzi. Wtedy zrozumiał, że pograł głupio. Wiedział, że jestem prywatnym detektywem z Los Angeles, że rozmawiałem z Kincaidem, a dziewczyna powiedziała mu pewnie, że byłem w klubie, bo chciałem pogadać z Conriedem. I równie łatwo mógł się domyślić, że interesowała mnie sprawa żony doktora Austriana. Więc co robi? Z głupiej zagrywki robi zagrywkę sprytną. Przyłącza się do śledztwa, które prowadzę, pomaga mi, jednocześnie wyciąga ze mnie, co się da, i z upływem czasu stwierdza, że na kozła ofiarnego pasuje o wiele bardziej niż ja.

- Zaraz się do niego zabiorę, szefie, dobra? - spytał bezbarwnym głosem De Spain.

- Chwila - odrzekł Anders. - Dlaczego zaczął go pan w ogóle podejrzewać?

- Krew i resztki naskórka pod paznokciami, to, że tak brutalnie pobił Lorenza i fakt, że dziewczyna powiedziała mi, że byli kiedyś razem, a on to przede mną ukrył i udawał, że jej nie zna. Czego, do diabła, było mi jeszcze potrzeba?

- Tego - warknął głucho De Spain.

Strzelił z kieszeni, z pistoletu doktora Austriana. Celny strzał z kieszeni wymaga wielkiej wprawy i ćwiczeń, jakich zwykli gliniarze nie przechodzą, skutkiem czego pocisk przeleciał o stopę nad moją głową. Usiadłem na podłodze, doktor Austrian szybko wstał, wziął zamach i zawartością buteleczki, którą wciąż ścisnął w dłoni, chlusnął mu w twarz. Bezbarwny płyn zalał policjantowi oczy i spalił mu twarz. Na jego miejscu każdy inny człowiek by krzyknął. De Spain młócił powietrze lewą ręką, a pistolet w jego kieszeni wypalił jeszcze raz, i jeszcze raz, wypalił po raz trzeci. Doktor Austrian upadł na biurko, zwałił się na podłogę, poza zasięg ognia. Bo De Spain nie przestawał strzelać.

Wszyscy policjanci w gabinecie momentalnie przyklękli. Anders poderwał do góry swoją ogromną spluwę i wpakował w De Spaina dwa pociski. Z takiej armaty wystarczyłby jeden. De Spain skręcił

się w powietrzu i grzmotnął o podłogę niczym stalowy sejf. Anders podszedł bliżej, ukląkł i patrzył na niego w milczeniu. Potem wstał, obszedł biurko i nachylił się nad doktorem Austrianem.

- Ten żyje - warknął. - Łap się za telefon, Weems.

Kłocowaty zastępcą przysunął telefon i zaczął wykręcać numer.

W powietrzu unosił się ostry smród kwasu i spalonego ciała - paskudny zapach. Wszyscy już wstali, a szef miejscowej policji patrzył na mnie z ponurym wyrazem twarzy.

- Nie powinien był do pana strzelać - mruknął. - Niczego by pan nie udowodnił. Nie dopuścilibyśmy do tego.

Nie odpowiedziałem.

Weems odstawił telefon i znów spojrzał na doktora Austriana.

- Chyba wykitował - rzucił znad biurka.

Anders wciąż patrzył na mnie.

- Straszliwie pan ryzykuje, panie Dalmas - powiedział. - Nie wiem, w jaką grę pan gra, ale mam nadzieję, że przynajmniej żetony się panu podobają.

- Nie narzekam - odparłem. - Szkoda, że nie mogłem pogadać z moim klientem, zanim został zabity, ale chyba zrobiłem dla niego, co mogłem. Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że lubiłem De Spaina. To był najodważniejszy facet, jakiego znałem.

- Jeśli chce się pan przekonać, co to odwaga, niech pan kiedyś zostanie komendantem policji w małym miasteczku.

- Taaa. Trzeba mu zawiązać chusteczkę na prawej dłoni, panie Anders. Sam pan będzie teraz potrzebował czegoś w rodzaju dowodu.

Z daleka, z Arguello Boulevard, dochodziło wycie syreny. Jej ciche zawodzenie wciskało się przez zamknięte okna jak wycie kojota na wzgórzach.

*Przełożył Jan Kraśko*